ŚWIAT

CENA 1 ZŁ.

Nr. 7. 13. II. 1937

w numerze:

L. CHRZANOWSKI
OD JUTRA LOJALNIE

■

W. OLSZEWICZ
POLSKA NA BAŁTYKU

■

ZAMORDOWANIE TAJNEGO AGENTA
(KORESP. WŁASNA Z PARYŻA)

■

POŁÓW PEREŁ

■

G. OLECHOWSKI
ZMARTWIENIA DYPLOMATÓW
POWIEŚĆ

■

J. KURATOWSKI
MŁODOŚĆ MILIARDERA

■

KATHERIN MC INTOSH
DYLIŻANS NA GADSHILL
(NOWELA)

■

CZY PANI WIE, ŻE...

■

PRZED OBIEKTYWEM

■

SŁUCHAMY PŁYT

■

TEATR, FILM, SPORT

ROBERT VETTER, AKADEMICKI MISTRZ ŚWIATA W KOMBINACJI ALPEJSKIEJ

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI
ROK XXXII. Nr. 7
13. II. 1937

L. CHRZANOWSKI.

OD JUTRA LOJALNIE

W swej ostatniej mowie kanclerz Hitler dał światu kilka zapewnień. Dowiedzieliśmy się więc, że Polska jest rzeczywistością. O tym mają pamiętać ci nieliczni współobywatele kanclerza, którzy dotąd mieli jeszcze jakieś wątpliwości. Od mowy kanclerza nie wolno im się wahać. Dzięki Bogu!

Dowiedzieliśmy się również, że odtąd polityka Niemiec wyrzeka się systemu „zaskoczeń". Aby jednak ten system oprzeć na mocnym fundamencie, jednocześnie dokonano ostatniego darcia Traktatu Wersalskiego przez cofnięcie złożonego na nim podpisu Niemiec.

Jesteśmy najgłębiej przekonani, że ten program od jutra bez zaskoczeń, bez niespodzianek — Niemcy wykonają jaknajskrupulatniej.

Bo cóż za niespodzianki mogłyby jeszcze nastąpić? *Oczywiście mówimy o niespodziankach pokojowych,* o niespodziankach w stosunku do Traktatu Wersalskiego? Niemcy dotychczasowemi „zaskoczeniami" odzyskały już przecież wszystko.

Niepłacenie odszkodowań. Zagłębie Saary. Równouprawnienie polityczne i dyplomatyczne. Zrozumienie w wielu kołach, że Rzesza troszczy się o przyszłość Gdańska. Prawo dozbrojenia się, a nawet prześcignięcia innych państw w zbrojeniach morskich, lądowych i powietrznych. Ostatnio wreszcie Niemcy wyparły się odpowiedzialności za wojnę i wycofały swój podpis z pod Traktatu Wersalskiego.

Cóż im więc pozostało do dalszego „zaskakiwania"?

Nie odzyskały tylko terytorjów, poprzednio innym zagarniętych.

Ale tego właśnie pokojowo nie da się odzyskać — nawet zaskoczeniem.

Więc nowy program „od jutra bez zaskoczeń" — jest najzupełniej realny, i ten dotrzymany będzie napewno.

Nawet właściwie już się realizuje. Ambasador von Ribbentropp *bez zaskoczeń* jedzie do Londynu z żądaniami kolonjalnemi. Zapewne — wkroczyć do kolonji, przeważnie znajdujących się w rękach angielskich, trudniej nieco, niż do Zagłębia Saary. Pokojowy program bez zaskoczeń jest więc bardzo życiowy, realny i ma wszelkie szanse wykonania.

Za wyjątkiem może jakiegoś jednego drobnego zaskoczenia — ale ta błahostka nie mieściłaby się już w programie pokojowym! A wiadomo przecież, że... wszyscy budują pokój.

O ile mnie pamięć nie myli — przed zajęciem Zagłębia Saary kanclerz Hitler zapewnił delegację francuskich b. kombatantów, że po uregulowaniu tej kwestji nic już nie będzie dzieliło Niemiec i Francji. To było jednak przed zajęciem Saary.

Passus o polskiej rzeczywistości „wprawił w zadowolenie" niektóre sfery i niektórych publicystów polskich. Otrzymaliśmy... patent na egzystencję od naszego zachodniego sąsiada. Nie zastanowiono się wcale, że to nieco przypomina — Niderlandy pana Zagłoby... Bo rzeczywistość polska w polityce międzynarodowej istniała już i przed tym opatentowaniem. Nawet, jak się nas oficjalnie stale zapewnia, wyrosła do mocarstwowego potencjału. (Nie mówimy oczywiście o rzeczywistości narodowej). Istniała ona również i w opinji niemieckiej. Aby unicestwić „rzeczywistość" polską, trzeba było ongi trzech potęg: Rosji, Niemiec i Austrji.

Dziś chyba najbardziej zagorzały, zajadły niemiec nie sądzi aby można było... rozwiać rzeczywistość polską!

Ale wielu, nawet po mowie kanclerza, może się łudzić, że tę rzeczywistość możnaby nieco... uszczuplić. Tych marzeń ściętej głowy mowa z 30-go stycznia nie ukróciła. Bo niestety, *o nienaruszalności* rzeczywistości polskiej w jej pełnym stanie mowa ta nie wspominała ani słowem. A skoro w swej mowie kanclerz mógł obdzielić swemi gwarancjami Belgję i Holandję — czemuż ten brak precyzji na wschodzie?

Bóle reumatyczne
artretyczne neuralgiczne
usuwa szybko przez zwykłe wcieranie
Balsam Bengalski
karpińskiego

PRZED OBJEKTYWEM ŚWIATA

Zdjęcie powyżej.
Mussolini dekoruje krzyżem walecznych matkę legionisty poległego w wojnie Abisyńskiej.

W Indjach Brytyjskich poraz pierwszy brały udział w głosowaniu kobiety. Grupa Hindusek na zdjęciu czeka na swą kolej przy urnach wyborczych.

Zdjęcie obok.
Wobec częstych wypadków na skrzyżowaniu ulic publiczność londyńska urządziła demonstrację na najniebezpieczniejszym odcinku, blokując go i tamując przez dwie godziny wszelki ruch kołowy.

DR. WACŁAW OLSZEWICZ

POLSKA NA BAŁTYKU

Z całej ilości 5.534 klm. swych granic Polska posiada zaledwo 140 klm. granicy morskiej, wykazując najmniejszy stosunek procentowy (2,5%) ze wszystkich państw nadbałtyckich. A jednak morze w ciągu kilkunastu lat istnienia odrodzonej państwowości potrafiło stać się czynnikiem niezmiernie ważnym w życiu Polski, można powiedzieć decydującym. Dostępowi do morza zawdzięcza Polska swobodę handlu z całym światem, niezależność od sąsiadów, którzyby chętnie tłumili jej eksport wysokimi taryfami kolejowymi, dyktowali kierunki wywozu, narzucali przywóz od siebie. Handel polski zdecydowanie wszedł na drogę morską od r. 1925, kiedy 16% całorocznego obrotu z zagranicą przeszło przez porty w Gdyni i w Gdańsku. W r. 1927 już jest to nie 1/6, ale 1/3, a w r. 1932 już 2/3, obecnie zaś wynosi procent handlu morskiego 3/4 całego obrotu Polski z zagranicą. Żadną liczbą nie da się ująć, ale z pewnością równolegle podąża w społeczeństwie polskim rozwój świadomości znaczenia morza, jako czynnika polityki i kultury.

W oczach świata byłaby Polska jakimś fragmentem „Mitteleuropy", gdyby nie skrawek wybrzeża, który z niej czyni państwo morskie, zainteresowane w każdej kwestii, związanej z Bałtykiem.

Cztery państwa skandynawskie (Szwecja, Norwegia, Dania, Finlandia), trzy państwa często zwane bałtyckimi (Estonia, Łotwa, Litwa), Polska oraz częściowo (gdyż przeważnie nastawione na inny kierunek) Niemcy i Rosja tworzą region odrębny, dla którego silną więzią geograficzną jest Morze Bałtyckie. Tworzą go niekoniecznie świadomie: region ten jest wynikiem położenia, a świadomość wspólnoty bałtyckiej jest czemś nowym, czemś, co w oczach naszych powstaje, czemś nowym i u nas i zagranicą. Głośnym przejawem tej nowej myśli było przed dwoma laty wystąpienie szwedzkiego senatora Carla Lindhagena, który podjął inicjatywę bloku ekonomicznego skandynawsko - bałtycko - polskiego.

Żywym przejawem tej idei w Polsce stała się rozpoczęta przed rokiem publikacja periodyczna w języku angielskim, jako języku neutralnym i zarazem bardzo dobrze znanym w krajach regionu bałtyckiego, a równocześnie języku rodzimym społeczeństwa, które coraz poważniej interesuje się zagadnieniami tego regionu, będąc z nim związane coraz silniejszymi węzłami gospodarczymi i kulturalnymi.

Sam tytuł nowego czasopisma określa jego szeroki zasięg: „Baltic Countries", podtytuł zaś wskazuje, że poświęcone jest ono kwestiom regionu zwłaszcza z punktu widzenia historii, geografii i ekonomiki. Inicjatorem i wydawcą jest ruchliwy Instytut Bałtycki ze swym dyrektorem dr. J. Borowikiem na czele. Nie jest to pismo jednak pomyślane — i w tym tkwi jego bardzo istotny walor — jako organ naszej propagandy. Jest to trybuna, z której o wszelkich kwestiach, interesujących nadbałtyckie ludy, wypowiadać się mogą i Polacy i cudzoziemcy. Redakcja już dla pierwszych czterech zeszytów potrafiła pozyskać wielu polskich i zagranicznych współpracowników z najrozmaitszych dziedzin. Te cztery zeszyty formatu wielkiego in 4° zawierają szereg artykułów oraz ogromną ilość recenzyj i rozumowanych bibliografij, którym poświęcona jest trzecia część tekstu, ponad 200 stronic.

Ciekawy jest kosmopolityczny skład grona współpracowników. Np. w dziale recenzyj profesor uniwersytetu kowieńskiego ocenia dzieło o polskich drogach wodnych, Polak — niemiecką książkę o walucie Skandynawii, Anglik — monografię Estonii, Szwed — atlas Finlandii, Estończyk — źródła do dziejów walk polsko - krzyżackich i t. d.

Ta obfitość kierunków zainteresowań, ta mobilizacja ludzi wielu narodowości — a wśród nich wielu wybitnych uczonych — dla jednego celu, dla pracy nad wszelkimi zagadnieniami bałtyckimi, — to znów wielki walor „Baltic Countries".

Cztery dotychczas wydane numery tego czasopisma zawierają — prócz wspomnianych recenzyj — 67 artykułów. Z nich mniej niż połowę (29) napisali Polacy, 8 jest szwedzkiego pióra,

Popiersie ś. p. gen. Orlicz-Dreszera, prezesa Ligi Morskiej i Kolonjalnej, wykonane w marmurze przez znakomitą rzeźbiarkę Annę Bickową-Nałkowską.

7 — finlandzkiego, 6 — amerykańskiego, 5 — duńskiego, po 4 angielskiego i estońskiego, po 2 francuskiego, łotewskiego i kanadyjskiego. Przytaczamy te liczby dla stwierdzenia zarówno zainteresowania zagadnieniem bałtyckim u wielu narodów jak i możliwości skupienia polskich oraz obcych ludzi nauki i publicystów dookoła stworzonego przez nas samych ośrodka. Polska ma nad Bałtykiem moc jeszcze zadań gospodarczych do wykonania: musi swój port gdyński (kóry jest największym portem na Bałtyku!) w dalszym ciągu rozbudowywać i rozwijać, musi dać Gdyni doskonałe połączenie z zapleczem, musi powiększyć tonaż swej floty. Ale w dbałości o takie utwierdzenie się materialne nad Bałtykiem nie może społeczeństwo polskie zapomnieć o utwierdzeniu się w życiu kulturalnym i intelektualnym ludów nadbałtyckich i o zajęciu wśród nich należnego stanowiska. Że taki obowiązek istnieje i że mu sprostać można — dowodzą najlepiej 4 zeszyty „Baltic Countries". Założeniem tego pożytecznego kwartalnika w jednym z języków światowych przypomniał Instytut Bałtycki rolę, jaka Polsce nad Bałtykiem przystoi, rolę której świadomość powoli, ale stale przenika społeczeństwo i z którą — w miarę naszych własnych wysiłków — w coraz silniejszym stopniu liczyć się będzie opinia zagranicy.

Zamordowanie tajnego agenta

Korespondencja własna „Świata".

Kiedy w Lasku Bulońskim padł trup, trup zamordowanego Dymitra Nawaszina, przez redakcje i polityczne kawiarnie Paryża przebiegła wersja: „Nowa afera Kutjepowa!"

Wielkie dzienniki nadały sprawie rozgłos i wielkie tytuły. Szczegóły śledztwa, domysły, poszlaki, zaczęły wyrastać, jak grzyby po deszczu.

Ręka GPU. — krzyknęli jedni. Gestapo maczała tam dłonie — rzucili drudzy. Ajenci Trockiego — zawołali trzeci. Masoni — warknęli czwarci. Awanturnicze spekulantów czarnogiełdziarskich mętne macki chwyciły mściwie Nawaszina — proklamowali jeszcze inni.

Rozmaitość pogłosek odrazu podkreśliła, że sprawa jest skomplikowana. A kiedy w dodatku do złożonego w komisarjacie trupa przybyli minister ekonomji narodowej Spinasze i b. minister oświaty, a od lat wielu rzecznik zbliżenia francusko - sowieckiego Anatol de Monzie — szeroka publiczność zrozumiała, że to nie zwykły emigrant rosyjski padł ofiarą mordercy.

Szybko wszystkowiedzące kawiarnie paryskie, tłum z metra, bulwarów i „bistro" zdecydował: „C'est une affaire politique, elle sera etouffée".

Zdrowy sens citoyen'a paryskiego, zdaje się, że znalazł już pełne potwierdzenie. Przebieg śledztwa, wersja, szczegóły, sensacyjne tytuły wogóle znikły z łamów wielkich dzienników. Na postać zamordowanego padły reflektory wręcz sensacyjnych oświetleń. Dziś nie ulega już wątpliwości dla przeciętnego obywatela francuskiego, że **Nawaszin był tajnym agentem.** I to agentem wielokrotnym!

Był typem „agent double" służącego dwum panom. Ale działalność swoją tak udoskonalił, że pracował dla różnych panów! Stąd pewna prawdopodobność pierwszych wersji o ewentualnych mordercach.

Ci, którzy podawali odrazu wersję o zamordowaniu Nawaszina przez agentów GPU. opierali się na fakcie, iż widzieli go konferującego z wysłannikami nazistów w Paryżu. Byli to ci, co mieli w swym dossier fakt poufnej konferencji Nawaszina ze Steinerem, delegatem nazistowskiej centrali w Monachjum, konferencji odbytej 6-go grudnia w jednej z kawiarń Montparnasu. Ci również, jak twierdzi „Candide" wiedzieli o dobrych stosunkach Nawaszina z jednym z wysokich funkcjonarjuszy ambasady niemieckiej w Paryżu.

Ale te stosunki Nawaszina, choć świadczą o rozległości skali jego działalności, były raczej po za nawiasem jego akcji głównej.

Dziś niema już nikt wątpliwości, że Nawaszin był niesłychanie sprytnym, zręcznym, ustosunkowanym agentem Sowietów we Francji. Pracował jednak i dla innych i... z innymi.

Gra Nawaszina polegała na wykazywaniu się jednym kołom francuskim niechęcią, nieżyczliwością i wrogością Stalina. Dla tych kół był on ekspertem, znawcą Rosji, stosunków w Bolszewji, był on przyjacielem Radka, Piatakowa, Sokolnikowa — był tym, co zerwał z Sowietami, ale miał wielkie wpływy personalne wśród działaczy opozycji.

Dla innych, dla przemysłowców był tym, co mógł ułatwić wizy, koncesje, wjazdy do Sowietów, stosunki handlowe, ci wszyscy wiedzieli, że mógł on bardzo wiele w tym zakresie i starali się o kontakty z Nawaszinem. Te koła wiedziały, że jest on częstym gościem ambasady sowieckiej na ul. de Grenelle. Jest więc dziś w opinji Paryża prawdą stwierdzoną, że dla jednych Nawaszin był „europejczykiem" o wielkich wpływach w Sowietach, dla drugich był „ekonomistą", co zerwał z Sowietami, a był przyjacielem Trockistów.

Można śmiało powiedzieć, że był on ze świetnej szkoły Azewa! Żadna ze stron nie wiedziała naprawdę **kogo bardziej zdradza, kogo naprawdę wydaje.** W tym kryje się prawdziwa tajemnica jego zabójstwa!

To u niego Radek ukrył dokumenty, które miały być opublikowane w razie skazania Radka na śmierć, twierdzą z przekonaniem niektórzy emigranci.

To on posiadając dokumenty Radka wydał jego i towarzyszy Stalinowi, twierdzą inni!

Zabili go więc trockiści — taki byłby pozornie wniosek logiczny.

Ale przeczy temu kursująca po Paryżu wersja, że dnia 12 stycznia Nawaszin dostał polecenie wyjazdu do Moskwy i... nie zastosował się doń.

Pogłoska ta tak jest powszechna, że „Candide" w formie kategorycznej stawia pytanie sowieckiemu ambasadorowi w Paryżu Potiomkinowi „czy Nawaszin we wtorek, 12 stycznia, o godzinie 17-ej przyszedł do ambasady sowieckiej, skąd wyszedł w pół godziny później? Czy właśnie nie w czasie tej wizyty oznajmił, że uważa swój wyjazd do Moskwy, dokąd go zaproszono dnia poprzedniego, za niemożliwy"?

To dobitne pytanie, zdaje się świadczyć, iż Nawaszin wolał nie ryzykować przejażdżki sleepingiem do Moskwy.

Czyj więc był sztylet morderczy? Tych co karali za niespełnienie nakazu wyjazdu do Moskwy, czy tych co przekonali się, że „przyjaciel" Radka, Piatakowa i Sokolnikowa ułatwił im zapoznanie się z prokuratorem Wyszyńskim.

Ciekawe jest *jak* działał w Paryżu, ten niewątpliwy tajny agent. Nawaszin należał do ekipy Krassina, który go poznał w 1921 roku i zaraz wcielił do swej technicznej „brygady". Wśród tych ludzi ekspertów inżynierów, bankowców, handlowców na jednym z naczelnych miejsc Krassin postawił Nawaszina, doceniając je-

go inteligencję i zręczność. Okres „Nepu“ był okresem powodzeń Nawaszina. Najpierw miał misje zagraniczne, później był dyrektorem banku w Moskwie. Kierował on PromBankiem do roku 1928. Od śmierci Krassina wpływy jego zmalały. W 1928 roku prowadzi w Paryżu bank „Banque Commerciale pour l'Europe du Nord“, który był oficjalną ekspozyturą finansową Sowietów. W tym czasie był również doradcą delegacji handlowej, na której czele stał Piatakow. W 1930-ym roku wezwany jest do Moskwy— nie jedzie. Stosunki pozornie się psują. Ale tylko pozornie, bo w 1932 roku w sprawie fałszywych czeków sowieckich wydanych w Paryżu, Nawaszin zeznaje jako świadek i broni Sowietów z zapałem i na całej linji. Zresztą to nie powinno nas dziwić. W 1914 roku jest w bliskich stosunkach z Mikołajem Mikołajewiczem, później w 1917 z księciem Lwowem, pierwszym premierem rządu prowizorycznego. W 1917-ym Kiereński zalicza go do koła najbliższych współpracowników, a w 1922-im na terenie Paryża wskazywano nań jako na jednego z inspiratorów... zamachu na Kiereńskiego. Pisząc o nim Georges Suarez, podaje takie dane: „Jego sytuacja materjalna podlegała niezwykłym wstrząsom. Były okresy, że wydawał bez rachunku. W innych na obiad miał jedną sardynkę. Kiedym go poznał, mieszkał w okolicy Champ de Mars, zajmował mieszkanie ubogie. Teraz płacił za swój apartament 25,000 fr. W jakiż to sposób ten człowiek bez określonego zawodu, w przeciągu kilku miesięcy mógł tak zmienić swój rodzaj życia i swe warunki finansowe?“

— Niedawno, pisze Suarez, — byłem zaproszony na śniadanie, które było koncertem gastronomicznym. Było to nieco przed proklamacją republiki hiszpańskiej. Na śniadaniu tym byli wybitni przywódcy powstania katalońskiego. „Co oznacza ten kontakt — przecież jest pan w złych stosunkach z Moskwą — zapytałem. Czego pan chce od nich? Ma pan jaką misję?“. Nawaszin odparł wymijająco — „to moi przyjaciele“. Dwa dni później wyjechali obładowani złotem i instrukcjami, — kończy Suarez.

Nawaszin miał w Paryżu dwa mieszkania — fakt ten podkreśla francuska prasa niezależna. Jedno oficjalne na ul. Michel Ange — tam mieszkał uczony, ekonomista, doradca handlowy. Tam bywali ministrowie, byli ministrowie, przyszli ministrowie. Tam były dwie sekretarki, maszynistki, luksusowe śniadania. Drugie mieszkanie (dotąd nieodnalezione) w okolicach Auteuil, Passy czy la Muette było tajnym rendes-vous wtajemniczonych współpracowników. Tej kryjówki podobno poszukują obecnie nerwowo ajenci różnych grup, no i... policja paryska. Pewną kategorję współpracowników Nawaszin spotykał na codziennym spacerze w lasku Bulońskim. Ci byli płatnymi informatorami. Oni dostawali zlecenia — rozkazy.

Podczas jednej z takich przechadzek zamordowano właśnie Nawaszina. Kim był blondyn-zabójca? Katalończykiem oszukanym na dostawie broni? Trockistą — mszczącym się za Radka i innych? Stalinowcem — karzącym za przechowywanie dokumentów Radka! Zdaje się, że tak jak w aferze Kutjepowa „końce z wody“ nie wyjrzą. Dziś Paryż wie tylko, iż zginął jeden z najzręczniejszych i najniebezpieczniejszych tajnych agentów, działających bez skrupułów i zastrzeżeń.

Dr. St. N.

ZE ŚWIATA

Cesarz Hirohito odbiera wielką defiladę przeciągającą przed pałacem w Tokio.

Znana lotniczka polska p. Zofia Mikulska otrzymała we Włoszech dyplom na pilotkę samolotów komunikacyjnych.

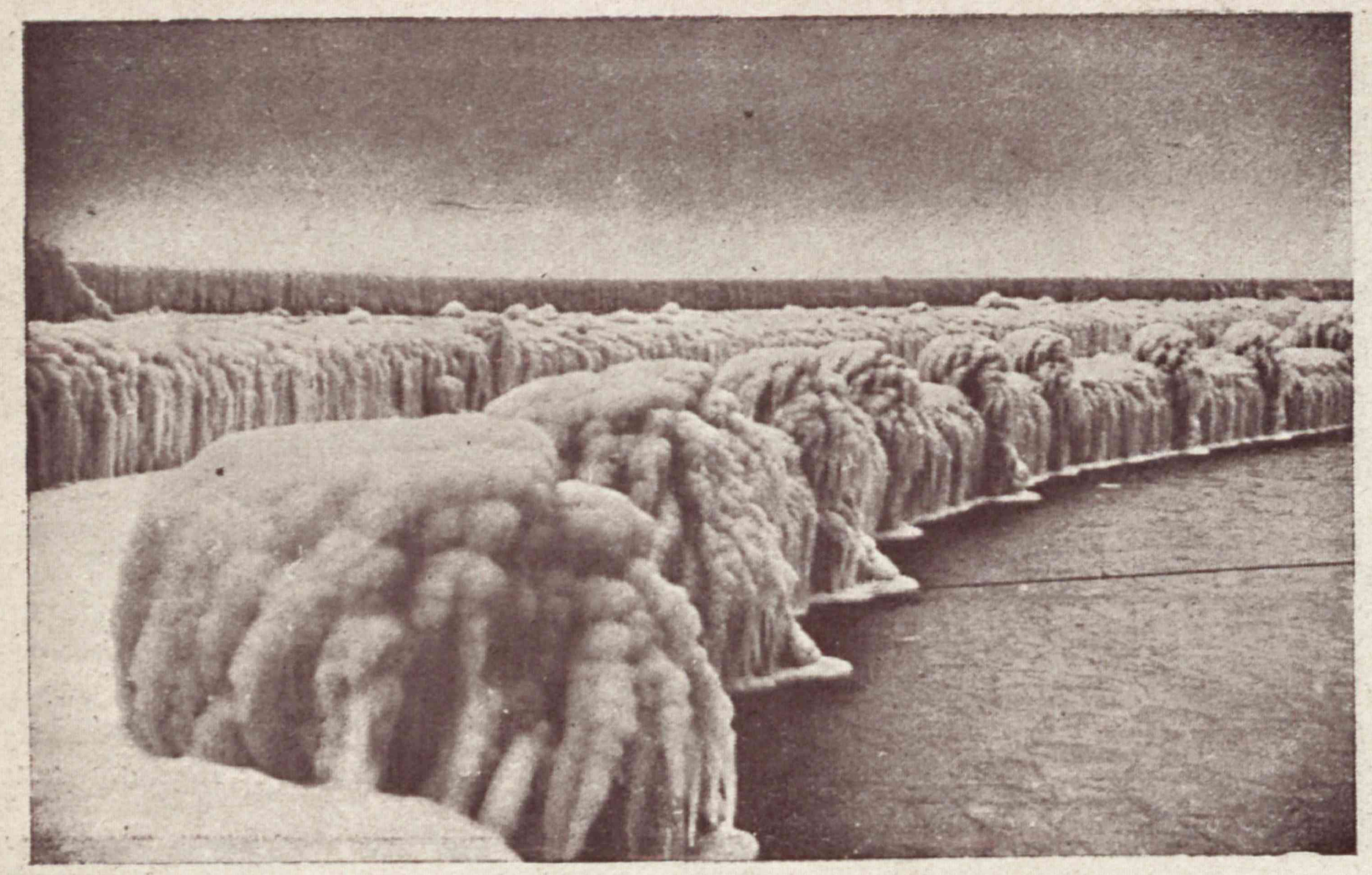

Fale Bałtyku w zimowej szacie.

Pod murami Madrytu. Grupa żołnierzy z armji gen. Franco w godzinach posiłku.

Pochód masek karnawałowych przez ulice Nicei.

ŚWIAT TEATRU

Janina Romanówna i Aleksander Węgierko (Zuzia i Figaro).

Teatr Polski. „Wesele Figara", komedja Beaumarchais. przekład Boy'a Żeleńskiego. Reżyserował Al. Węgierko. Dekoracja St. Śliwińskiego. Kostjumy Zofji Węgierkowej.

Od chwili kiedy odpowiedzialność za poszczególne teatry T. K. K. T. została wyraźniej zdefinjowana, Teatr Polski zdecydowanie zyskał. Okazuje się, że na swoim dawnym terenie dyr. Szyfman nietylko lepiej się czuje, lepiej działa, ale prawdopodobnie nawet sam właśnie w kulisach Teatru Polskiego ma ten schowek, gdzie sobie pokryjomu pociąga ów eliksir młodości, który pozwala jubilatowi i sprawcy 25-ciu lat Teatru Polskiego niewiele

Zofia Lindorfówna i Chodecki.
(Wszystkie zdjęcia St. Brzozowski).

co starzej wyglądać od tego młodzieńca, cośmy z takim zapałem oklaskiwali go na premjerze „Irydjona".

Grypa zmogła nietylko pół Warszawy, ale nawet zwycięskiego „Figara", prerywając ciąg jego sukcesów. Zmogła i sprawozdawców. Dziś więc dopiero pomówimy o dziele Beaumarchais i Węgierki.

„Wesele Figara" Beaumarchais ma już swoją renomę teatralną i historyczną nawet. Ograniczmy się więc do relacji, jak Beaumarchais wyszedł na Węgierce. Wiadomo, że jest to jeden z naszych najlepszych reżyserów. Poza inteligencją, sumiennością i starannością ma on jeszcze dar niecodzienny wyczucia ducha dzieła i ducha epoki. Stąd zawsze

Aleksander Zelwerowicz

niemal sztuki w ujęciu Węgierki są ciekawe, interesujące i stoją na wysokim poziomie. Nic dziwnego, że i tym razem mieliśmy jedno z lepszych przedstawień sezonu. Są jednak tym razem pewne zastrzeżenia. Czy temu winna obsada? Czy reżyser pomimo wszystko pierwszym odsłonom nie był w stanie nadać lekkości i wesołości w ironji? Dość że wiele scen zakrojonych na groteskę, żart, czy kpinę nie miało zabawności naturalnej, aż do chwili, gdy na scenę wkroczył Zelwerowicz.

Wspomniałem o obsadzie. Dotyczy to w pierwszym rzędzie p. Chodeckiego. Rola Almavivy zupełnie nie leży w zakresie zdolności tego artysty. Ani książę, ani podstępny zazdrosny mąż, ani perwersyjny nieco birbant, wielki pan, ani finezyjny intrygant — te wszystkie „ani" zmobilizował Chodecki starannie w swym wykonaniu. Mówił, ruszał się, działał jak wzorowy czarny charakter. Podkreślał swe intencje akcentami nieraz tak fortissimo branemi — że wszystko co było drwiną, co

Lindorfówna i Wasiutyńska

było finezyjnym zmaganiem się różnego kalibru kłamstw i intryg, gdy ocierało się o Almavivę Chodeckiego, traciło lekkość, ukłucia, żądło Beaumarchais'go. Walczono może nie na kłonice, ale na laski. To nieodpowiednie obsadzenie artysty, mającego wręcz inne możliwości, odbiło się ujemnie na wielu sytuacjach.

A szkoda, bo pozatym wszyscy niemal wpadli doskonale w ton i styl „Wesela Figara". Palmę pierwszeństwa trzeba oddać Zelwerowiczowi, który z drobnej rólki sędziego Gąski zrobił arcydzieło komizmu. Z niesłychaną znajomością swoich środków, wykorzystując kontrasty swej tuszy i minoderji gestykulacji i mimiki, otulając się jak w opończę poczciwca, a nie wychodząc z podbijającej prostoty miał on lekkość humoru, ruchów i tonu. Zbierał więc brawa przy otwartej kurtynie. Bawił, igrał, rozweselał demaskując to, co Beaumarchais w satyrycznych scenach komedji chciał zdemaskować.

Hrabinę grała Lindorfówna — wyglądała ślicznie, rolę nieco papierową, w każdym razie bierną, przeprowadziła umiejętnie, mając bardzo szczęśliwe momenty. Romanówna znalazła sposobność aby wyładować swą werwę i temperament, jej Zuzia miała filuterność, zalotność. Tempo doskonałe, impetyczność porywająca. Wszystko to, w co trzeba było wyposażyć urodziwą i błyskotliwą Zuzię dała jej Romanówna szczodrą ręką. Wasiutyńska w roli zakochanego pazia, inteligentnie przeprowadziła nieśmiałe olśnienia młodego Cherubina. Miała „kołkowatość" zakochanego żaka, emfazę poetyczną i komiczność w scenach z hrabiną. Była staranna i jak wszystkie bohaterki „Wesela Figara" wyglądała prześlicznie w arcydziełach kostjumów p. Węgierkowej. Bardzo dobrą, rezolutną i naturalną w drobnej rólce Frani była Lidja Wysocka.

Do ról mniej szczęśliwie obsadzonych zaliczyć należy Marcelinę Małyniczównę. Niema komizmu w jej pierwszych scenach. Dydaktyzm, trochę nudnej powagi, rezonerstwo cechują Małyniczównę, zalecającą się do Figara. Z chwilą jednak, gdy dowiaduje się, że jest jego matką i gdy z zazdrością wciela się w tę rolę, nabiera szczerości, mówi bez afektacji i sztuczności, jest zupełnie poprawna.

Bardzo zabawny był Małkowski.

Węgierko jako „Figaro" wykazał dokładne wniknięcie w intencję autora i w ducha komedji. Ale przez cały czas, kiedy z zapałem prowadził walkę ze swym panem i kiedy intrygą bronił się przeciw intrydze, kiedy atakował intrygą i ciężko zapracowywał na ślub z Zuzią, chroniąc jednocześnie misternemi kłamstwami hrabinę przed zazdrością męża — ciągle miało się wrażenie, że myśl jego krąży koło mowy politycznej, jaką ma wygłosić w końcowej odsłonie.

Ta błyskotliwa świetna reprymenda Beaumarchais'ego — która takie echo zawsze znajduje na widowni — a która wesołą komedję przeistoczyła w swoim czasie w rewolucyjną sztukę — nieustannie jakby ciążyła nad Figarem Węgierki. Jego Figaro fizyk wiedział zgóry, że poważna polityczna pointe'a komedji będzie jej walorem najwyższym.

Ta myśl — o zasadniczym rysie komedji, ujęła lekkości Figara Węgierki. Był on nieco zbyt starannie opracowany, zanadto technicznie wypolerowany.

Jeśli stało się to pewnym minusem w roli Figara — to w inscenizacji komedji i pracy reżyserskiej ta myśl święciła natomiast pełne powodzenie.

Kostjumy p. Węgierkowej stanowiły jak zwykle świetną, subtelną grę barwnych plam. Artystka stworzyła znakomite stylowe, piękne w linji stroje.

L. Ch.

Andryczówna i Ziembiński w sztuce „Lato w Nehant" na scenie teatru Małego.

POŁÓW PEREŁ

Karjera

Był pewien starosta, nazywał się Krawczyk. W grudniu 1936 r. sąd skazał go na więzienie za przekroczenie władzy, działanie na szkodę interesu publicznego, niewyliczenie się z pieniędzy publicznych, nieprawne pobieranie remuneracji, i t. p. W czasie rozprawy Krawczyk zeznał, że na „wybory" otwarto w K.K.O. konto separato — a po wyborach starosta Krawczyk otrzymał od wojewody Kirtiklisa pochwałę: *„Bajecznie pan to zrobił"...*

— Znamy, znamy... — powie znudzony czytelnik.—Nie pierwszy on przecież...

Tak. Tylko zaznaczyć wypada, że *ten* starosta mianowany został na swe odpowiedzialne stanowisko, pomimo że Sąd Okręgowy w Poznaniu *skazał go był już poprzednio za... pobieranie łapówek!*

„Ulgi" na miligramy

Samochodów ciągle nie mamy. Każdy nowonabywca jest w dalszym ciągu ofiarnym pionierem, narażającym się na niepomierne koszty przy wątpliwej przyjemności. Wiem coś o tem z własnego doświadczenia. Zdawałoby się przeto, że raz teoretycznie porzuciwszy idjotyczne nastawienie „tępienia motoryzacji" — przejdziemy stanowczo na drogę jej całkowitego popierania. Więc „ulgi"...

Ale dane... półgębkiem...

Bo oto wymyślił znowu jakiś motoryzacyjny neofita nowy dowcipuszek. Wyszedł okólnik ministerstwa skarbu, że przy przyznawaniu ulg podatkowych bierze się pod uwagę jedynie cenę normalnie wyekwipowanego wozu. *Części dodatkowe, jak koła zapasowe, przyrządy warsztatowe, etc. nie mogą być włączane do ogólnej ceny kupna (?).*

My już to znamy. Urząd ma zawsze rację — obywatel nigdy. Więc jeżeli mu mówią, że coś tam na jego wozie wymyka się z pod „ulg" — że ma znowu spacerować z papierkami i opłatami od Annasza do Kaifasza — przyszły automobilista, który już miał wóz kupić, rozmyśla się błyskawicznie.

„Dajcie mi święty spokój! Jeszcze mi zdrowie miłe! Nie mam czasu na rozmówki po urzędach. Niechże sobie tę maszynkę sprawi... głupszy odemnie!"

Raj

„Głos sądownictwa" zamieścił ciekawą korespondencję z Norwegji. W okręgu, liczącym 34 tysiące mieszkańców, jest tylko jeden sędzia. Rozpoznaje on *rocznie* około 250 spraw karnych i około 30 cywilnych.

Sprawa karna przedstawia się np. tak: ktoś pił alkohol na ulicy — co jest zabronione prawem. Na zwróconą przez policjanta uwagę, zaczął się sprzeczać — policjant wymierzył 20 koron kary, obywatel odwołał się do sądu.

W tym stylu bywają sprawy karne w Norwegji.

Żyć, nie umierać!

Czy nie mamy innych zmartwień?

„Parylewiczowa w więzieniu choruje".

„Parylewiczowa straciła 30 kilo na wadze".

„Parylewiczową przewieziono na badanie kliniczne do szpitala".

Takie notatki spotykamy co parę dni w prasie codziennej.

Czy już naprawdę nie mamy ważniejszych zainteresowań, jak wglądanie w stan zdrowia osoby, która popełniła najobrzydliwsze przestępstwa?

Zdrowa czy chora — choćby najobłożniej — Parylewiczowa sprawiedliwości się nie wymknie! Nie pozwoli na to ani obecny minister sprawiedliwości, ani sąd polski, *ani polska opinja.*

Więc naco to litosierne tiu-tiu?

Arsène Lupin redivivus

Collete, znakomita pisarka fraucuska, przebywa teraz w Nicei. Wracając sama późnym wieczorem do domu, została napadnięta przez jakiegoś draba, który wyrwał jej z ręki woreczek i drapnął. Woreczek zawierał 3 tysiące franków.

Dość banalna sprawa z „Kroniki wypadków". A oto zakończenie.

Nazajutrz pisarka otrzymała w grubej kopercie prawie wszystkie zrabowane banknoty wraz z poniższym listem:

„Pani —

Nie mogłem zatrzymać pieniędzy, należących do autorki *„Chéri"* i *„Claudine"* — powieści, które mi są specjalnie drogie, gdyż przypominają mi moje dni szczęśliwe. Przeto, pomimo nędzy, w jakiej się znajduję, nędzy, która mnie popchnęła do przestępstwa, — zwracam Pani całą prawie sumę, którą zawierał Pani woreczek. Byłoby mi specjalnie miło doręczyć Pani Jej własność osobiście — dla zrozumiałych jednak powodów uczynić tego nie mogę.

Raczy Pani przyjąć, jednocześnie ze zwrotem swej własności, wyrazy głębokiej czci od swego złodzieja, pełnego zachwytu i skruchy".

Widać nie wymarła jeszcze rasa gentlemanów - włamywaczy...

„Pani pułkownikowa dyplomowana"...

Dochodziło już do czystej farsy. Tytułomanja wśród naszych „pań wojskowych" — tak samo zresztą, jak i wśród naszych pań „dygnitarzowych" — przybrała formy wręcz groteskowe. Ponieważ zaś stopień wykształcenia niezawsze pozwalał osobom zainteresowanym na stosowanie form właściwych, przeto operetkowy przydomek *„pani pułkownikowej dyplomowanej"* serwowany był na serjo i z całem przejęciem. Nawet za niedodanie owej „dyplomowanej" bywały wypadki ciężkiej obrazy. No bo jakże...

Ukrócono to, na szczęście, okólnikiem min. spraw wojskowych. Polecono wojskowym, aby przekonali swe małżonki, że im właściwie nie przysługuje szarża mężowska. Przypuszczalnie będzie wiele cichych rozpaczy — ale przecież karność, chwała Bogu, nasi wojacy znają. I ich „piękniejsze połowy" także, miejmy nadzieję.

Uparty nurek.

SŁUCHAMY PŁYT

1937 rok daje miłośnikom tańca bardzo krótki karnawał. Zaledwie pięć tygodni jest przeznaczone na zabawę. Dlatego nie można poprzestać na wielkich balach i dancingach, lecz trzeba także tańczyć w domu przy dobrych płytach i gramofonie.

Poniżej podajemy parę uwag o płytach tanecznych Syreny-Elektro w nagraniach zagranicznych.

Rumba jest już właściwie zupełnie niemodna. Zniknęła z salonów, pozostała jedynie na parkiecie music-hallów jako egzotyczny taniec o specyficznej rytmice. Joe Wilbur wraz ze swoją orkiestrą nagrał dwie rumby „Pop corn" i „Cuban Pete". Pierwsza może zbyt monotonna, ale doskonała rytmicznie. Cuban Pete jest znacznie ciekawsza tak pod względem melodii jak i jej przeprowadzenia.

Ta sama orkiestra nagrała jeszcze piosenkę z nieznanego u nas filmu „Blackbirds of 1936" pod tytułem „Złączymy nasze serca" (Your heart and mine). Jest to pierwszorzędny do tańca slofox o miłej i łatwo wpadającej w ucho melodii i bogatej harmonizacji. Ładny jest również akompaniament na organach. Na odwrocie fox „Pucybut" z tego samego filmu. Dobry duet saksofonowy lekko przeprowadza rytmiczną melodię przy akompaniamencie J. Shilkreta. Można tę płytę polecić jako wyjątkowo dobrą do tańca.

A teraz cztery nagrania Casani Club Orchestra. Na pierwszy ogień idzie walc angielski „Będziemy zawsze razem" (Sweatheart let's grow old together). Trochę senny, ale dziwnie mile podany i świetny do tańca.

Pamiętamy wszyscy film „Poszukiwacze złota", którego melodii jeszcze dziś z przyjemnością słuchamy. Tej samej spółki autorskiej Dubbina i Warrena jest slow-fox „Czy umiesz tańczyć". Zaczyna płytę doskonały duet fortepianowy i chociaż dalsze wykonanie jest bez zarzutu, trochę nam żal, że tak mało tych tak bardzo fonogenicznych fortepianów.

Również niezawodna para autorów Johnson i Hopkins odnoszą sukces w miłym slow-fox'ie „Moje serce tęskni do Ciebie". Głosik kobiecy o nosowym nieco brzmieniu śpiewa wdzięczny i sentymentalny refren.

Rytm walca wiedeńskiego jest zbyt szybki dla flegmatycznych Anglików. W ich charakterze leży raczej posuwiste pas bostona. Dowodem może być płyta „The waltz was born in Viena", która poza nazwą niema nic wspólnego z wiedeńskim walcem.

Ostatnia płyta tej orkiestry to znakomita melodia „Would you" z wyświetlanego obecnie i cieszącego się dużym powodzeniem filmu „San Francisco". Zupełnie inne wykonanie niż na filmie nie odbiera jej uroku, a na specjalną uwagę zasługuje jej końcowa część.

Reminiscencją nie zaaklimatyzowanego na kontynencie „hot jazzu" jest płyta „Nobody sweatheart". Razi nas ona może ostrością barwy, lecz nie możemy odmówić zespołowi orkiestry Hot Hoosier Shot bezsprzecznego talentu. Płyta ta składa się z poszczególnych fragmentów, przemijających w zawrotnym tempie, lecz stanowiących same w sobie całość.

Charlie Kuntz osiągnął rzadką chyba ilość swoich nagrań. Ostatnia to już 21-sza wiązanka foxtrottów. Kuntz gra zawsze bardzo poprawnie — jedno można mu zarzucić: stałe dawanie silniejszego akcentu co kilka taktów staje się trochę monotonne. Melodie są jak zwykle starannie dobrane i wielbiciele jego gry z przyjemnością zaliczą do swych kolekcji jeszcze i tę wiązankę.

Specjalnie udany dobór płyt skazał mnie na ciągłe chwalenie. Tutaj jednak trzebaby było powtórzyć wszystkie superlatywy użyte do różnych płyt, ażeby w należytym stopniu uwydatnić walory poniższej płyty. Nieznany u nas prawie wcale zespół mieszany Die Spring Revellers śpiewa wiązankę walców Lehara. Trudno chwalić muzykę — można chwalić natomiast wykonanie. Pewny jestem, że Państwo znają najlepszy do tej pory wiedeński zespół revellersów — Comedian Harmonist. Otóż Spring Revellersi robią mu poważną konkurencję. Ta sama lekkość wykonania i inteligentna interpretacja melodii stwarzają prawdziwą ucztę dla miłośników walców Lehara.

H.

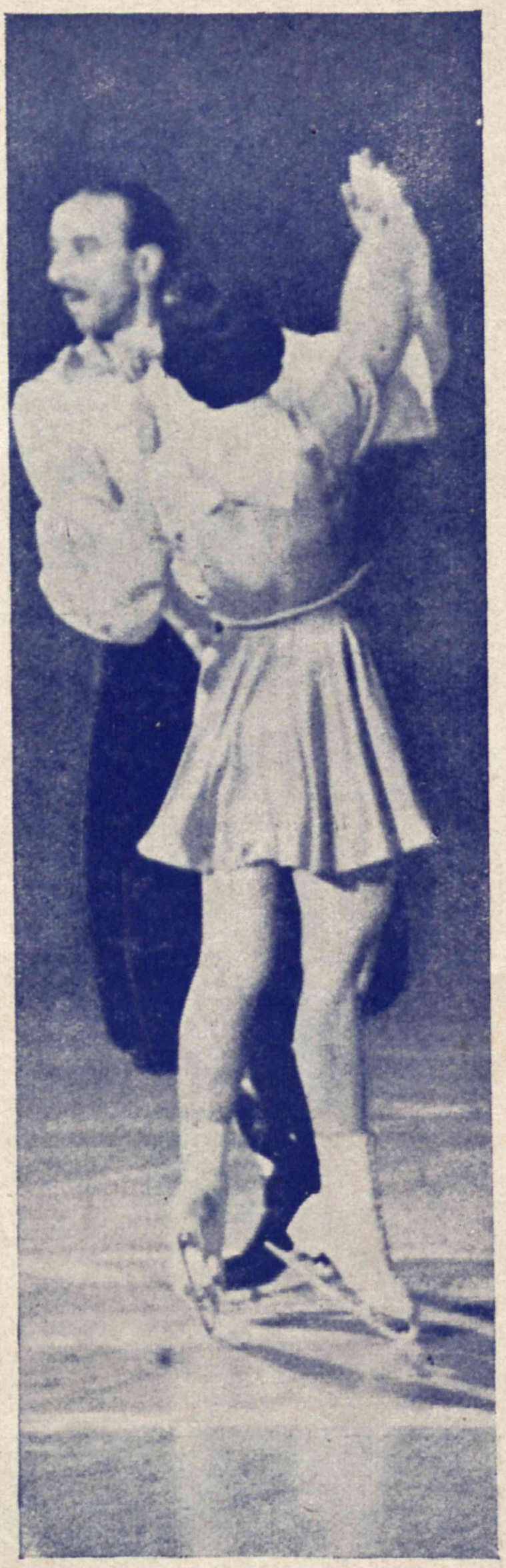

Mistrzowska para Europy w jeździe figurowej, małżeństwo Jolliot.

ZAKŁADY OGRODNICZE

C. ULRICH

zawiadamiają, że wyszedł z druku

Cennik Nasion na rok 1937

i polecają wszelkie nasiona świeżego zbioru wyborowej jakości

Centrala — Warszawa, **ulica Ceglana 11,** tel. 568-60
Filie: **ulica Moniuszki nr. 11,** telefon nr. 609-28
2-ga Hala Mirowska, telefon nr. 609-33

ŚNIEG I LÓD — NIEZMIENNY UROK ZIMY

Piętnastoletnia Cecylja Coledge, zdobędzie prawdopodobnie tytuł mistrzyni świata w jeździe na lodzie i zajmie miejsce Souji Henic, która porzuciła sport dla karjery filmowej.

Zespół gwiazd z całego świata — balet na lodzie w St. Moritz.

Przygotowania do zawodów zimowych. Miss Taylor trenuje.

Evi Pavlick z Berlina, najmłodsza adeptka sportów zimowych.

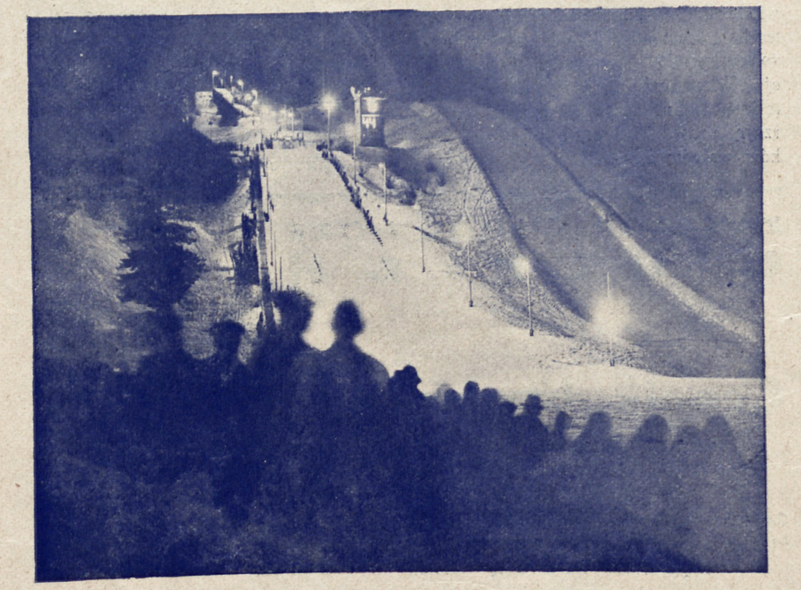

Nocne ćwiczenia przy świetle gwiazd na skoczni narciarskiej w Garmich Partenkirchen.

Pochylony pod kątem 45° Graham Sharpe, bierze zakręt na torze lodowym w St. Moritz.

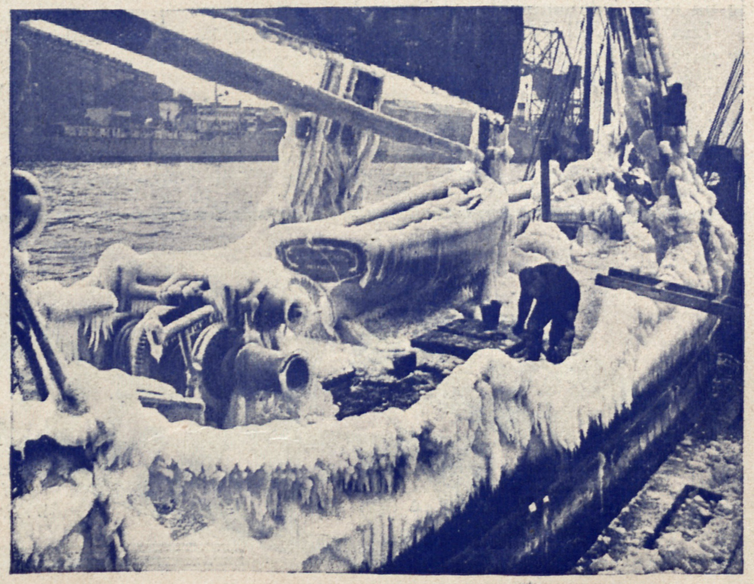

Powrót do portu po burzy śnieżnej — okręt w lodowych okowach.

GUSTAW OLECHOWSKI

20)

ZMARTWIENIA DYPLOMATÓW

Powieść

Każdy nowoprzybywający prenumerator otrzyma bezpłatnie początek powieści G. Olechowskiego „Zmartwienia dyplomatów", której druk rozpoczęliśmy 26 września r. b.

Zapytanie Van Corneliusa wyprowadziło ją zupełnie z kłopotu, bo mogła odrazu zacząć opowiadanie o wypadku. Umyślnie rozciągała całą historję, odbiegała od tematu, pomnażała szczegóły, aby tylko wystarczyło na długo, aby tylko nie nastąpiła próżnia, w którą wpadłaby niewątpliwie cała ta niesłychanie trudna do ujęcia w rozmowie awantura ojcostwa.

— Poco o tem mówić? Stało się, jest, i dobrze. Zmieni się, no to się zmieni... Dziś jest dobrze, trzeba korzystać z tego i już.

Papa Cornelius obrał taką samą taktykę. Nie zaczynać nigdy rozmowy o przeszłości. Tak mówić i postępować, jakby sytuacja obecna trwała oddawna, zawsze.

I pozostał wierny tej metodzie. Nina instynktownie odczuła ją i przyjęła jak własną.

Sprawą wypadku zajął się prokurator. Był jeszcze młody i niedoświadczony, bo dał *interview* dziennikarzom, którym powiedział, że w mieszkaniu Hansa znaleziono poważną gotówkę, co mu daje wiele do myślenia.

Prokurator był szalenie niedoświadczony, bo nic mu to nie dało do myślenia, że szereg pism o pewnem zabarwieniu — jak na komendę — wykpił to jego myślenie, powątpiewając w zdolności dekukcyjne jego samego i pracującego z nim sędziego śledczego, a nawet bezczelnie wyrażając prawie pewność, że tajemnica nie zostanie nigdy wykryta, czy to był wypadek, czy zamach. Szofer zginął, samochód spłonął. Szukaj wiatru w polu.

Na swoją rękę prowadziła śledztwo imaginacyjne pani Johnson. Uwielokrotniła się. Stała się ekspresem rozwożącym plotki. Zbierała je, jak skrzętna pszczółka soki z roślin zbiera, przerabiała je na miód i deponowała gdzie mogła.

Zim siłą woli opanował udar nerwowy tak, że w parę dni był gotów na przyjęcie Ministra Spraw Zagranicznych.

Sprawa „wypadku" była dla niego jasna jak słońce. Był zupełnie pewny, że może on się nieraz jeszcze powtórzyć. Powiedział to Willy'emu. Ten podzielił jego opinję. Ani Niny ani Van Corneliusa nie chcieli oczywiście niepokoić, bo sami nie mieli zamiaru zejść z drogi. Gdy Willy raz przy takiej rozmowie zasępił się, Zim przypomniał mu słowa psalmisty o człowieku opatrznościowym —

„ani dbaj na strzały,
któremi sieje przygoda w dzień biały.
Stąd wedle ciebie tysiąc głów polęże,
stąd drugi tysiąc, ciebie nie dosięże
miecz nieuchronny, a ty przecież swemi
oczyma ujrzysz pomstę nad grzesznymi...
Będziesz bezpiecznie po żmijach gniewli-
[wych
i po padalcach deptał niecierpliwych.
Na lwa srogiego bez obawy wsiędziesz
i na ogromnym smoku jeździć będziesz."

Po śniadaniu u Ministra — długa, bardzo długa konferencja zupełnie służbowa, czysto oficjalna, w tonie dość suchym, bardzo rzeczowym, raczej nieprzyjemnym. Zim referował wszystkie sprawy po kolei, tak, jak je chciał mieć podanemi Minister, na sucho, na goło.

Tego samego wieczora miał się odbyć bankiet prasy miejscowej i korespondentów zagranicznych dla polskiego Ministra. Minister był tem zdumiony.

— Od kogo wyszła inicjatywa? — pyta Zima.

— Ja spowodowałem inicjatywę — odparł spokojnie Zim, — ale tak, że właściwie nikt dokładnie nie wie, kto zpośród dziennikarzy wysunął pierwszy tę myśl.

— Czy każdego ministra witać będzie prasa zagraniczna bankietem?

— Nikogo oprócz polskiego ministra.

— To pan jest cudotwórcą. Jak pan to zrobił?

— Nie bezpośrednio, bo to nie odniosłoby żadnego skutku. Jestem tu już dość dawno, by móc przekonać każdego z kim się stykam, a z prasą mam osobisty kontakt doskonały, że Europa otwiera się dziś kluczem polskim.

— I uwierzyli panu?

— Uwierzyli...

Otoczenie Ministra było zaniepokojone tonem pewności siebie, jaka cechowała słowa Zima, a z którą się wogóle nie spotykano.

Ale w tym tonie było jednocześnie tyle buddajskiego spokoju, że nie pozostawało nic innego, jak wszystko przyjąć — jak było podane.

Ale że posunięcie z tym bankietem było mistrzowskie, więc Zim wyzyskał dobry nastrój i tegoż wieczora po bankiecie zaprosił Ministra do siebie na śniadanie na dzień następny, uprzedzając, że nie będzie nikogo więcej, pragnie bowiem omówić z Ministrem kilka spraw wielkiej wagi.

Myśląc, że ma do czynienia ze zwyczajnym karjerowiczem, Minister był przekonany, że Zim wytoczy przed nim sprawy swoich personalji, awansów, orderów, zasług... Z rezygnacją przyjął zaproszenie jako nieuniknione.

Podczas śniadania Zim unikał tematu właściwego. Opowiadał więc po kolei wszystko co wiedział o osobach, które będą odgrywały role podczas kongresu. Dopiero gdy wstali od stołu i przeszli do salonu na czarną kawę, Zim zaczął:

— Pan Minister wie oczywiście o tem, że Instytut Studiów Ustrojowych zwrócił się do szeregu osób z *Corps Diplomatique* z propozycją wygłoszenia odczytów na tematy związane z ideą zbliżenia między narodami, która ma przyświecać kongresowi, zwołanemu w celu pojednania się państw, wytworzenia związku czy związków państw Europy czy Świata.

Minister pozwolił sobie na ton szczery:

— Instytut się zwrócił do was, czy wy do Instytutu?

— Instytut.

— No?...

— Mało kto odważył się zgłosić odczyt. Odważnych było tylko trzech: nuncjusz, chargé d'affaires Holandii i ja.

— Jaki odczyt pan zgłosił?

— O filozofii polskiej.

— Nie rozumiem.

Zim milczał, jakby czekał, żeby Minister sam sobie odpowiedział

Zim miał to w oczach. Niepodobieństwo, żeby Minister tego nie przeczytał.

Więc gdy się męczące milczenie skończyło, a trwało całe cztery sekundy, Minister ciągnął dalej:

— Cóż to ma za związek z kongresem?

— Trudno o bliższy. Przecież to polska filozofia odkryła prawa dziejów ludzkości, to znaczy to, co musi znać każdy mąż stanu.

— Ciekawy jestem jednego tylko punktu w pańskim odczycie, a mianowicie tego, w którym pan dotknie programu kongresu.

— Tego punktu wcale nie będzie, panie ministrze. To sobie każdy musi dośpiewać. Ja tylko dowiodę w odczycie, że filozofia polska jest nieomylna, jak prawo ciążenia, że światło odrodzenia świata wyjdzie z Polski, a właściwie już wyszło.

— To będzie bardzo niepropagandowe, bo każdy sobie powie w duchu: — czemuż on tego nie powie swemu rządowi?

— Zdaje mi się, że pan minister trafił w sedno rzeczy. Rzeczywistość jest taka, że po pierwsze — odczyt sam przez się, propagujący myśl polską, powinien być aktem propagandowym a po drugie —myśmy powiedzieli naszemu rządowi już nie raz, raz, że możemy wyleczyć chorego, ale nam nie wierzą, by to było możliwe.

— Bo to jest niemożliwe.

— Dlaczego?

Minister był zły. Nie wiedział dlaczego, ale nie lubił, by go pytano. Zim zdał sobie sprawę w mgnieniu oka, że moment jest niebezpieczny.

Więc przerwał milczenie:

— Panie ministrze, nikt nas nie słyszy. Gdy się jest zdrowym, należy unikać lekarstw, ale gdy się jest w agonii, można wypróbować każde lekarstwo, bo gorzej niż śmierć nie będzie, a nuż pomoże.

— Można umrzeć.

— Społeczeństwo nie umiera.

— Nie ma też agonii.

— Jest. Nikt nas nie słucha, panie ministrze. Nie ma pieniędzy, kredytu, zaufania, jest nędza mas, od motoru i maszyny wracamy do konia i mięśni człowieka, zbrodniczość społeczna rośnie przerażająco, zanik moralności, szalone osłabienie duchowych sił w narodzie, których może zbraknąć, gdy będzie ich na gwałt potrzeba, obniżenie kultury, chaos ideowy, powstawanie coraz to nowych stronnictw, pauperyzarcia inteligencji, długi, orgia protekcji i stronniczości, eksport kosztem krajowego konsumenta, niewiara zupełna w możność poprawy, wzrost bezrobocia, zanik potrzeb, drogi w stanie rozpaczliwym, tchórzostwo cywilne, niezadowolenie ogólne, przemysł w rękach obcych, handel również, zjadanie własnych trzewi przez deficytową pracę warsztatów, budżet państwa coraz mniejszy, zadłużenie ogólne do granic niemożliwych, brak pieniędzy na inwestycje, przerost podatkowy, bezmiar potrzeb, niemoc ich zaspokojenia i z dnia na dzień gorzej... czy to nie...

— Więc co? — rzucił niecierpliwie Minister.

— Panie ministrze! Ma pan przed sobą człowieka dojrzałego, doświadczonego, dość wykształconego, przytomnego, zdrowego na ciele i duszy, uczciwego, który deklaruje, że wszystkie te nie zczęścia można usunąć siłą rozumu kierującego państwem w myśl celowości opanowania materji przez ducha, a na podstawie praw rządzących dziejami ludzkości. Ja się podejmuję dowieść każdemu człowiekowi dobrej woli, który nie jest przekonany, że posiadł wszystkie rozumy, że Polskę można w kilka lat uczynić bogatą, bo nią potencjonalnie jest, uczynić szczęśliwą, bo dość jej wskazać drogę, uczynić istotnie wielkiem mocarstwem, bo dynamicznie na to zasługuje, każdemu obywatelowi dać właściwą pracę i możność dojścia do dobrobytu, — ja to wiem, ja to umiem i ja to muszę publicznie powiedzieć całemu światu. Ja to wyłożę w moim odczycie z punktu widzenia filozofji

TRYKOTAŻE POŃCZOCHY TRICOT WARSZAWA MARSZAŁKOWSKA 123

i wskażę, jaki ma być ustrój państwa. by na zawsze uniknąć anarchji i rewolucji. A Cornelius powie. jaki usrój gospodarczy rozwiązuje wszystkie problemy ekonomiczne.

Minister wzruszył ramionami.

— Czemu pan minister powątpiewa?

— Tyle już było projektów zbawienia świata...

— Wszystkie były nic warte.

— Skąd pewność, że pana projekt jest nieomylny?

— Dwie uwagi, w kwestji formalnej. Naprzód — projekt nie jest mój, tylko Związku, który reprezentuję, a związek reprezentuje cały system filozoficzny, który jest nieomylny, bo jest, że się tak wyrażę — kosmicznie naturalny. A wogóle — to nie jest żaden projekt tylko jest teoremat dowiedziony. który będę miał zaszczyt zademonstrować.

— Obawiam się, że się pan wsypie.

— Na dowód, że jestem przewidujący — proszę...

Wyjął z kieszeni kopertę i wręczył ją ministrowi.

Minister spojrzał na adres: Do niego.

Wysunął z koperty arkusz — przebiegł szybko wzrokiem. —

— Stracę w panu bardzo dzielnego urzędnika, a ojczyzna — obywatela bez zarzutu.

— Trudno, panie Ministrze, muszę się podać do dymisji, bo treść mego odczytu odbiegnie od tendencji naszego Rządu. Jestem zbyt lojalnym urzędnikiem, by mojemu rządowi robić kłopot zagranicą. A mówić musze. Człowiek. który wie. a nie powie, jest albo tchórzem, albo łotrem, w każdym razie wyrachowanym egoistą. Moje sumienie mi powiada, że niema pilniejszej, większej, wznioślejszej sprawy, jak powiedzieć przed kongresem delegatów pięćdziesięciu państw, że ludzkość można zharmonizować i że w Polsce dojrzała myśl tego czynu. Dowiode tego bezspornemi prawdami naukowemi. Należę do legalnego, jawnego związku propagującego odkrycia dokonane przez społecznego, politycznego i ekonomicznego Kopernika, ignorowanego przez Wielka Inkwizycje dlatego tylko, że żadnemu Tomaszowi Torquemadzie nie chce się poświęcić trochę czasu na poznanie Prawdy.

Silny zwrot przełamał zupełnie charakter rozmowy. Jakaś pokrywka w mózgu ministra raptownie się otworzyła. Popatrzał na rozpalonego Zima uważnie, jakby go pierwszy raz ujrzał. Z twarzy jego znikł stygmat przymusowej oschłości. Ujawniła się w nim nowa forma stosunku do rzeczywistości. Miał uczucie, że ujrzał przyszłość. Jasno zarysował mu się jakiś nowy horyzont bytu i na jego tle postać Zima. Zabrzmiała mu w duszy jakaś nowa struna, bardzo dźwięczna, nieznana.

— Podoba mi się, że pan jest odważny.

— To nie jest odwaga, panie ministrze, tylko męstwo. a to jest wielka różnica.

— Może...

Zamyślił się...

Długie milczenie...

— Ha, niech pan mówi. Zobaczymy. Trzeba ciągle szukać. Szukajmy...

— Jużeśmy znaleźli...

— Bierze pan na siebie wielką odpowiedzialność, za którą może pan odpokutować. Uprzedzam pana.

— Dziękuję, wiem i biorę na siebie całą odpowiedzialność.

Minister wyciągnął do niego rękę — z kopertą.

— Nie przyjmuję. Dam panu dymisję. gdy będę uważał za potrzebne. Mówić pan będzie przecież nie na kongresie, tylko w prywatnym klubie profesorskim. A że tam będzie cały kongres — to — incognito.

Delegaci pięćdziesięciu państw, którzy mieli uszczęśliwić ludzkość, uważali, że można tę sprawę załatwić na dłuższe raty, lichwiarsko przez społeczeństwa oprocentowane, zajęli się więc tymczasem uszczęśliwianiem swoich pięciu zmysłów.

Tivoli stało otworem. Pogoda się ustaliła, to też codziennnie wieczorem po obiadach, bankietach. rautach różnojęzycznych tłum ministrów, radców, ekspertów, sekretarzy, kancelistów, maszynistek, tłum elegancji, wytworności form, względnych gustów i pulchnych portfeli rozsiewał się po rozkosznym parku, jego wykwintnych restauracjach, kawiarniach, teatrzykach i namiotach dziwactw i potworności.

Dalszy ciąg nastąpi.

CZY PANI WIE, ŻE...

...Holandja jest bardzo „na czasie“. Oto przepis na torcik holenderski. 250 gram. mąki, 190 gram. masła, tyleż cukru. Jedno jajko. Jedna łyżeczkę od kawy sproszkowanego cynamonu. Wyrobić starannie ciasto. Wyłożyć nim dno okrągłej formy, na grubość jednego centymetra. Nałożyć na ciasto konfitury z malin, a na wierzch ułożyć skrzyżowane paseczki ciasta w kratkę. Piec w wolnym piecu, uważając, aby się nie spaliło.

•

...nowoczesna djetetyka potępia nadużywanie mięsa smażonego, natomiast bardzo zaleca, zwłaszcza dla żołądków słabych, lub dla rekonwalescentów, mięso gotowane we wszelkich postaciach. Jedną z najsmaczniejszych odmian będzie budyń z mięsa, np. z cielęciny.

Liczyć na osobę, na jedną porcję następujące ilości: 20 gram masła utrzeć z jednem żółtkiem. Białko ubić na pianę. 100 gram surowej cielęciny przepuścić dwa razy przez maszynkę, zmieszać z utartem masłem, na końcu dodać pianę. Nakładać do formy budyniowej, wysmarowanej masłem, gotować 25 minut. Podawać z sosem pomidorowym, kaparowym, karmelowym lub innym, na jaki pozwala djeta zalecona indywidualnie.

•

...na reumatyzm doskonałem lekarstwem są borówki. Jeżeli nie zrobiła pani dostatecznego zapasu tych świetnych owoców na zimę — można jagody borówek zastąpić skutecznie przez picie odwaru z liści borówczanych. Kupić w aptece suszonych liści borówek. Zalać dwie łyżki liści dwiema szklankami wody gotującej. Gotować pięć minut. Przecedzić. Pić przez kilka tygodni codzień dwie szklanki tego odwaru.

•

...napoje zimne i gorące są zawsze bardzo pożądane. Podaję tu przepis na orzeźwiający „Shyllabub“ oraz na gorący poncz.

Shyllabub: flaszkę reńskiego wina, jedną skórkę cytrynową otartą na tarce, sok z jednej pomarańczy i 100 gram. cukru pudru wlać razem do wazy i postawić, zamieszawszy, na sześć godzin na lodzie. Przed samem podaniem ubić ćwierć litra kremowej śmietanki na krem, i nalewać do kieliszków: pół kieliszka wina, a do pełna z czubem kremu śmietankowego.

Poncz. Funt cukru porąbać w kawałki, otrzeć o skórkę z paru pomarańcz i cytryny, nalać litr lekkiego francuskiego wina, pół litra mocnego araku, dodać do smaku sok z pomarańcz i cytryn, zagotować i wlać do specjalnej wazy od ponczu. Podawać bardzo gorący.

•

...po grypie włosy często wypadają. Wzmacniać je można nacieraniem co wieczór skóry na głowie watą umoczoną w następującym płynie: amoniaku 5 gram. Terpentyny francuskiej 25 gram. Spirytusu kamforowego 125 gram. Robić na głowie kolejno od czoła do karku przedziały, każdy z tych przedziałów starannie natrzeć, aby całą skórę głowy jednakowo wzmocnić.

•

Niema mowy o czystości w domu bez gładkiej posadzki. A niema mowy o prawdziwie gładkiej, lśniącej posadzce bez zaprawy do podłóg Dobrolin. Tę elementarną prawdę hygjeny domowej i czystości zna każda praktyczna pani domu, to też cała Polska używa znakomitej, łatwej i wydajnej w użyciu zaprawy DOBROLIN.

•

...pachnący eleksir do zębów można sobie spreparować samej. Podaję przepis francuski, bardzo zbliżony do słynnej Eau de Botot.

Anyżu suszonego 3 gramy. Goździków 1 gram. Cynamonu 1 gram. Olejku mentolowego pół grama. Wódki 40% 60 gram. Zalać wódką korzenie, zakorkować butelkę, trzymać w cieple pokojowem tydzień, poczem przecedzić starannie przez płótno i przez watę. Używać w ilości 15 kropel na szklankę wody do płókania zębów.

•

...częste mycie włosów uważano dawniej za zgubne! W roku 1858 słynna tancerka Lola Montez, znana piękność, za którą „szalały głowy koronowane“ — wydała po angielsku zbiór przepisów kosmetycznych, zatytułowany „Sztuka upiększania kobiet“. W książce swej wykwintna ta i elegancka dama oburzała się na zwyczaj częstego mycia włosów, który wówczas do Europy zaczynał się już przedostawać z... Ameryki.

„Amerykański zwyczaj szamponowania sobie włosów albo częstego mycia ich wodą i mydłem — niszczy piękno włosów. Wielokrotne stosowanie mydła zmienia wkońcu odcień włosów, nadając im zabarwienie brudne, żółtawe, a często sprowadza gorsze jeszcze katastrofy“ — pisze europejska wytwornisia z połowy wieku XIX...

Jakoś my, chwalić Boga, wszystkie myjemy sobie głowy co tydzień — i nie łysiejemy od tego, w wieku XX-ym!

Dama Pikowa.

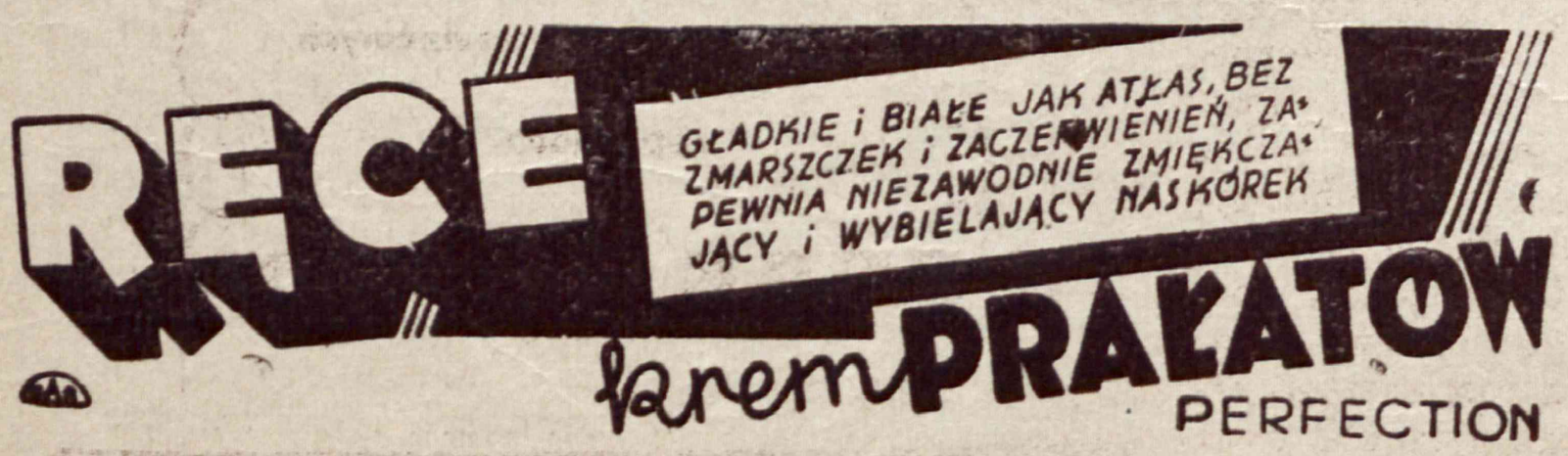

FUTRA
najnowsze Kreacje 1937 r.
poleca
„PETITGRIS“, tel. 7-19-82
Najdogodniejsze warunki, wszelkie obstalunki, przeróbki, szybko, tanio. Aleje Jerozolimskie 35—9, wprost zegara dworcowego

JAN KURATOWSKI.

MŁODOŚĆ MILIARDERA

(Z lat młodzieńczych króla nafty Johna D. Rockefellera)

Wiemy wszyscy, jak rozpoczynali swą karjerę życiową amerykańscy potentaci giełdy i przemysłu: chłopiec na posyłki, uliczny sprzedawca, czyściciel obuwia i t. p. długo boryka się z losem aby dzięki szczęśliwemu przypadkowi, zdolnościom czy pracowitości wybić się z pośród wielu, wielu równych sobie. Młode lata Johna D. Rockefellera pozbawione są przygód tego rodzaju. Przyszły król nafty pochodził z rodziny farmerów, choć ojciec jego Wiljam nie zajmował się rolnictwem. Nie posiadając dyplomu lekarskiego, lecz obdarzony dużym sprytem, objeżdżał Wiljam Rockefeller okoliczne osady, reklamując się jako specjalista od leczenia raka. Potrafił on zaoszczędzić nieco pieniędzy dla swoich dzieci, a było ich pięcioro; każde po dojściu do pełnoletności otrzymywało okrągłą sumę tysiąca dolarów. John z pośród cech odziedziczonych po ojcu przejął nie tylko spryt ale i zmysł oszczędności; obie te cechy w stopniu znacznie wyższym niż ojciec.

Również matka wpajała w swe dzieci cnotę oszczędzania, stąd pierwsze „przedsiębiorstwo" siedmioletniego Johna — hodowla indyków. W kajecie zapisywało się wydatki związane z wyżywieniem ptaków oraz dochód ze sprzedaży. Mając lat 14 pomaga sąsiadowi w robotach ogrodowych, za co otrzymuje wynagrodzenie 30 centów dziennie. Praca ta nie daje mu zadowolenia, chłopiec czuje się wyzyskiwany, stąd wniosek prosty: należy się uczyć, aby móc później zarabiać na życie—i oto John zapisuje się na kursa buchalteryjne. W szesnastym roku życia kończy owe kursa i rozpoczyna długotrwałą wędrówkę w poszukiwaniu pracy. Po wielu bezowocnych staraniach szczęście uśmiechnęło mu się — w niewielkim przedsiębiorstwie handlowym w Cleveland młody człowiek zostaje zaangażowany w charakterze pomocnika buchaltera z pensją 50 dolarów miesięcznie. Data rozpoczęcia pracy (26 września 1855) jest datą pamiętną w życiu miljardera, święcić ją się będzie po wielu latach jubileuszem.

Z lat młodzieńczych Rockefellera zachował się do dnia dzisiejszego dzienniczek jego, w którym zanotowane są nawet najdrobniejsze wydatki, jak kilkocentowe ofiary na kościół baptystów (w minimalnej skali początki przyszłej akcji filantropijnej na olbrzymią skalę). Dziennik świadczy, że młodzieniec, pomimo wrodzonej oszczędności dbał o swój wygląd zewnętrzny: ceny figurujące obok takich pozycji, jak krawaty, obuwie, rękawiczki i t. p. dowodzą, że przedmioty nabywał w najlepszym gatunku.

Pomimo staranności w ubraniu młody człowiek najwidoczniej nie był uważany za dobrą partję w znaczeniu matrymonjalnym, jak o tym świadczy następujące zdarzenie: w fermie Rockefellerów służyła do pomocy córka sąsiadów, Melinda Miller. Jakkolwiek pobierała ona wynagrodzenie za swą pracę, traktowano ją jak członka rodziny. Młoda i przystojna Melinda przypadła do gustu Johnowi, który chętnie czas spędzał w jej towarzystwie, a wkrótce rozeszły się wieści, że młodzi mają się pobrać. Pogłoski te dotarły do rodziny Millerów, a skutek był ten, że przyjechała matka Melindy, aby jaknajszybciej zabrać ze sobą córkę. „Nie pozwolę na to nigdy", mówiła z gniewem „aby moja córka poślubiła chłopca bez przyszłości!"

Parę lat później J. D. Rockefeller już jako człowiek zamożny żeni się z córką bogatego kupca — Laurą Spelman. Małżeństwo to było dobrane pod każdym względem. „Była to kobieta rozsądna i znakomita doradczyni, wspomina swą żonę Rockefeller „bez niej może pozostałbym biednym człowiekiem".

Przyszły miljarder nie znosił rozrzutności, a kolegów nie szanujących pieniędzy ostro karcił. Zdarzyło się, że kilku przyjaciół Johna nabyło do spółki żaglówkę. Na inauguracyjną przejażdżkę zaproszono młodego Rockefellera. Ten z oburzeniem odmówił: „Jesteście dziwnymi ludźmi, rzekł, stawiacie pierwsze kroki w interesach i już tracicie

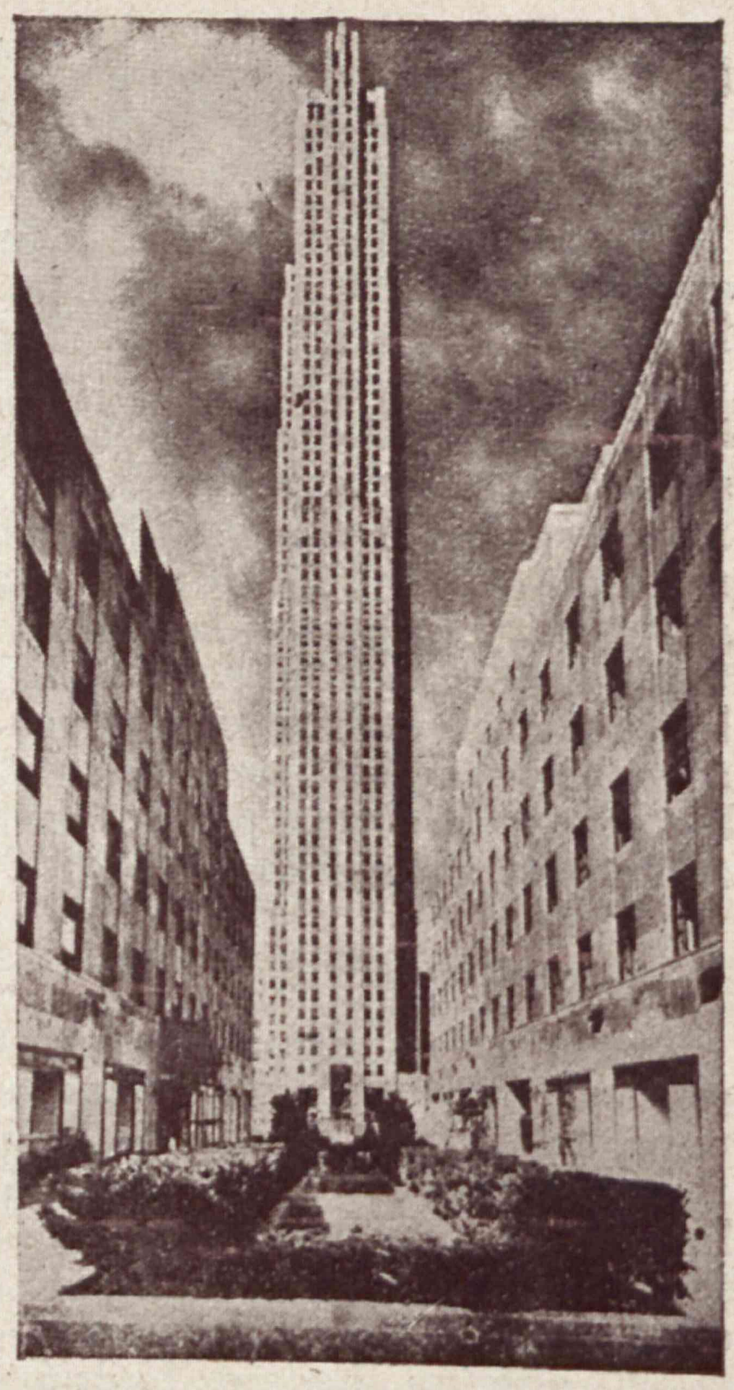

Rockefeller - City — dzielnica, wzniesiona przez Rockefellera w Nev Jorku.

John D. Rockefeller, król naftowy, ur. 1839 r.

pieniądze; narażacie naszą opinję w bankach na kompromitację, a tem samem i nasz kredyt, co zarówno was, jak i mnie doprowadzi do ruiny; idźcie do djabła z waszą żaglówką, nie chcę nawet jej widzieć!"

Trzy lata przepracował Rockefeller jako pomocnik buchaltera, zarabiając 50 dolarów miesięcznie, a po upływie tego czasu zażądał podwyżki. Oszacował wtedy swoją pracę na 800 dolarów rocznie. Pomimo, że młody człowiek spełniał swe obowiązki bardzo sumiennie — spotkał się z odmową. W tym czasie poznał Anglika Clarka, który zakładał przedsiębiorstwo handlowo - eksportowe i poszukiwał wspólnika z kapitałem 2000 dolarów. Rockefeller nie wie skąd wziąć tak znaczną sumę, wreszcie zwraca się do ojca, który zgadza się udzielić nowopowstałej firmie pożyczki na dziesięć procent rocznie!

Był to początek oszałamiającej karjery. W momencie największej potęgi finansowej i przed rozpoczęciem akcji filantropijnej oceniano majątej Johna D. Rockefellera na 2 miljardy dolarów — największy majątek w ręku jednego człowieka. Sumy wydane na cele społeczne i dobroczynne stanowią również rekord światowy, wyniosły bowiem przeszło 700 miljonów dolarów.

Rockefeller obchodził niedawno 97-mą rocznicę urodzin. Dzieci i wnuki wychowywał skromnie, nie życzył sobie, aby mówiono im, że są bogaci. Pewnego razu, gdy mały wnuczek Rockefellera bawił się w parku łódeczką, jakiś chłopiec zapytał: „Dlaczego sobie nie kupisz łódki z motorkiem?" „Za kogo mnie bierzesz", odparł zagadnięty „nie jestem przecież Vanderbiltem!" Jak wiadomo, rodzina Vanderbiltów należy do najwyższej finansjery amerykańskiej, jednak żaden z członków tego rodu nie doszedł do tak wielkiej fortuny, jak John D. Rockefeller.

JEGO EKSCELENCJA PRZYPADEK

Do banku wszedł człowiek skromnie odziany. Skierował się wprost do kasy i podał do zrealizowania czek na... 100.000 dolarów. Kasjer, zaniepokojony, zatelefonował do dyrektora, dyrektor — do banku, który wystawił czek. Wszystko w porządku.

— Skąd ma pan czek na taką sumę? — zapytano osobliwego klienta. Opowiedział historję o kapeluszu, który znalazł na ulicy. Nosił go kilka tygodni i przypadkiem dostrzegł pewnego wieczoru, iż z za opaski skórzanej wystaje różek papieru. Wyciągnął... czek.

Prawdziwa historja czeku zaczyna się od zgonu bogatego bankiera nowojorskiego, który przed śmiercią jeszcze kazał wystawić czek na 100.000 dolarów, włożył go, zwinąwszy w czwórnasób, za opaskę skórzaną swego starego kapelusza, który polecił wyrzucić na śmietnik. Przypadek, jak twierdził miljoner, sprawi, że czek dostanie się wraz z kapeluszem w ręce potrzebującego.

Od chwili wyrzucenia na śmietnik kapelusz przechodził osobliwe koleje. Znalazł go śmieciarz i sprzedał zaraz za dziesięć centów handlarzowi starzyzny. Ten oczyścił stary kapelusz i sprzedał go za dwadzieścia pięć centów woźnicy z browaru. Woźnica zgubił go podczas bójki po pijanemu. Podniósł go, przywłaszczył sobie i nosił przez kilka dni stary żebrak. Zatrzymany przez policjanta i prowadzony do aresztu, rzucił kapelusz do skrzyni ze śmieciami. Tu przeleżał kapelusz kilka dni, by znaleźć się w rękach ulicznego sprzedawcy sznurowadeł. Ale ekscelencja nie pozwolił mu na zagrzanie miejsca. Sprzedawca podarował kapelusz swemu chrześniakowi, ten zaś zgubił go podczas jazdy na gapę w kolei podziemnej.

Tak trwała wędrówka doczesna cennego kapelusza okrągłe siedem miesięcy. Wreszcie trafił do rąk ostatniego posiadacza, skromnego zamiatacza ulic. Służył mu wiernie i wytrwale przez kilka tygodni. Aż pewnego wieczoru, gdy właściciel zabrał się do zdejmowania mocno już zniszczonej wstążki, dostrzegł, iż z za skórzanej opaski wewnętrznej wystaje różek białego papieru. Pociągnął zań i znalazł — czek.

Tak działał Jego Ekscelencja przypadek z woli milionera amerykańskiego.

Tak samo przypadek tylko zadecyduje komu z pośród posiadaczy losów przypadną liczne wygrane w rozpoczynającym się 18-tego lutego ciągnieniu pierwszej klasy trzydziestej ósmej Loterji Państwowej.

KIEDY SZCZĘŚCIE SPRZYJA

Do wszystkiego trzeba mieć trochę szczęścia. Tak wszyscy zwykle wzdychamy, ale nie wszyscy zastanawiamy się nad właściwym znaczeniem tych słów. Trochę szczęścia — to nie znaczy, by pieczone gołąbki same wpadały do gąbki. Rzecz trzeba należycie przygotować, opracować i z wiarą iść naprzód. Wtedy szczęście sprzyja.

Gdy komuś się uda, mówimy, ma szczęście, ale nie zastanawiamy się nad tym, że on to szczęście sobie sam przygotował. Jeżeli wygrał na Loterii Państwowej, czyż nie musiał sobie wygraną przygotować przez nabycie losu? Tylko ten wygrać może kto na loterii gra.

Otóż wygraną na loterii może każdy łatwo przygotować, kto tego naprawdę chce. Należy tylko nabyć los w znanej ze szczęścia kolekturze J. Wolanow, Warszawa, Marszałkowska 154, po czym ma się już duże szanse wygrania, gdyż jak wszystkim wiadomo, „Wolanow stale wzbogaca".

PORADNIK KOSMETYCZNY PANI ZOJI

Tak samo jak należy chronić zdrowie przez zapobieganie chorobom, również dla pięknego estetycznego wyglądu niezbędnem jest zapobiegać racjonalną pielęgnacją powstawaniu tych lub innych wad urody. Nie wtedy należy myśleć o zabiegach kosmetycznych, kiedy skóra jest usiana krostami i wągrami, lub twarz jest poorana bróżdami, albo na głowie zamiast włosów pozostała błyszcząca powierzchnia.

Racjonalna pielęgnacja im wcześniej stosowana tym większe daje wyniki. Polega ona w pierwszym rzędzie na zabiegach higjenicznych, racjonalnem oczyszczaniu (myciu) skóry, z uwzględnieniem indywidualnych warunków. Skoro widzimy, że skóra nasza jest błyszcząca często przetłuszcza się, co jest objawem łojotoku, stosujemy do mycia gorącą wodę, we wczesnym wieku (dzieciństwie) mydło alkaliczne — w późniejszym środki łagodniejsze jak galaretki, cleanziny oraz płyny preparowanego alkoholu. Chroniąc tak skórę zapobiegamy krostom i wągrom, które są następstwem łojotoku.

Jeżeli widzimy na naszej skórze drobne łuseczki, lub odczuwamy ściąganie się skóry przy myciu — te drobne objawy są wskaźnikami, że skóra jest sucha. Przy suchej skórze, myjąc się, unikajmy gorącej wody i mydła! Jedynie w dzieciństwie możliwym jest stosowanie mydła i to najbardziej przetłuszczonego, w dojrzałym wieku zamiast mydła należy stosować tłuszcze nieorganiczne, jak parafina, oraz jej przetwory, w późniejszym wieku nawet środki oparte na tłuszczach organicznych jak oliwa nicejska olej migdałowy i t. p.

Stosując przy suchej skórze łagodniejsze środki do oczyszczania, nie tylko nie pozwolimy utworzyć się zmarszczkom, które są zwykłem ściągnięciem skóry, lecz dodając tłuszcz, możemy przywrócić równowagę i usunąć przykre ściąganie się skóry jak i łuszczenie.

To samo z włosami. Ile to razy się słyszy, że na porost włosów niema środków, że na włosy nic nie pomaga. Zapewne, jeżeli zaczniemy myśleć o leczeniu włosów wtedy, gdy nastąpi kompletna atrofja nie możemy liczyć na dobre wyniki. Włos rośnie z gruczołu włosowego, który w zależności od jego stanu zdrowia wydawać może od 1 do 2 cebulek włosowych. Jeżeli włosy mamy zdrowe, tylko słabe, należy na nie zwrócić baczną uwagę, o ile są chore, natychmiast udać się do lekarza.

Pielęgnacja włosów oczywiście polega także na racjonalnem myciu i tak przy tłustych włosach częste mycie (1 raz na tydzień) środkami odtłuszczającemi, jak spirytus mydlany — przy suchych odżywczemi jak żółtko, przyczem nie częściej jak 1 raz na 2 — 3 tygodnie. Te skromne zabiegi stosowane na dłuższą metę i systematycznie dają nadzwyczajne rezultaty.

Dobre środki zawsze są proste, byleby były stosowane racjonalnie i we właściwej porze.

(D. c. n.).

Dodatkowych wyjaśnień udziela bezpłatnie p. Zoja osobiście Czytelniczkom „Świata“, w godzinach 12 — 14 i 18 — 19 w salonach „Gracja“, ul. Wiloza 35 róg Marszałkowskiej.

KATHERIN MC INTOSH

DYLIŻANS NA GADSHILL

Światło słoneczne padało niezwykle intensywnie przez wiosenne listowie, jak gdyby pędził je przed sobą deszcz i chciało jaknajlepiej wyzyskać krótki wieczór kwietniowy. Kos pogwizdywał, jakby i on do czegoś przynaglał; wszystko zdawało się ożywione, czujne, żywotne. Gdy obejrzała się raz jeszcze na dom z ogrodu, zauważyła, że zachodzące słońce zaiskrzyło się na szybach, a potem buchnęło płomienną czerwienią. — Przemiły dom — pomyślała Katarzyna bez urazy i pożałowała, że teraz nigdy już nie będzie mogła w nim mieszkać. Może gdyby w nim zamieszkała, w tym przyjacielskim, zaufanym, przestronnym domu, wszystko byłoby inaczej poszło. Ta myśl długo w niej zresztą nie gościła. Aby ją sobie uzmysłowić, potrzeba było pewnej dozy imaginacji, a Katarzyna nie posiadała bujnej wyobraźni. Zewsząd ograniczona była własną apatją, tym wiekiem dojrzałym, który jej przyniósł czas, zabierając jej po drodze ładną, dziecięcą nicość, nie dając wzamian — nic. Była osobą, która musi albo szczebiotać, albo być niemą i dawno jako jedyną broń wybrała milczenie. Teraz w ten wieczór kwietniowy, dwadzieścia jeden lat po ślubie, nie umiała nic powiedzieć tej godzinie, która ją tak głęboko poruszała i która za dwadzieścia minut skończy się — raz na zawsze.

Jakże słońce świeci! Jest tak ruchliwe jak młode zwierzątko, skaczące tu i tam, zamieszkuje przestrzeń między ziemią i eterem i żłobi dziwne perspektywy wzdłuż mikroskopijnych alei bukszpanu. Za tym żywopłotem rósł rząd jaskrawo żółtych laków, za temi— młodziutkie, pierzaste marchewki i na cal wysoka fasolka. Wszystko pachniało wiosną: był to wieczór do rozpoczęcia życia, nie do kończenia. — Gdybyśmy mogli znów zacząć? — pomyślała tak leniwie jak przedtem; lecz myśli jej nie chciały pozostać na poziomie rozsądku; prześlizgiwały się i umykały, jak piasek przez oka sieci. Przez dwadzieścia jeden lat myśli jej wypełniała rodzina znajdująca się teraz wewnątrz domu, dziś — nie chciały mieć nic z nią wspólnego, ziały pustką, czekając na — na co właściwie?

Zerwała mokry kwiat laku i przypięła broszką do szala. Broszką z niebieskiej mozaiki. Kupili ją w Italii, w tej willi pod Genuą, gdzie małe złote jaszczurki przebiegały przez kuchnię, jak myszki. Jak tam było miło, a jednak niewygodnie. Sprawy, z których Karol śmiał się, ją denerwowały. Drobne kłopoty i irytacje jak kąśliwe muchy, psuły całe wakacje: brak sklepów, woda do picia tylko gotowana, gadatliwa,

Wytworne krawiectwo męskie
H. LIPSZYC
Gmach Opery — Pod Filarami

pijana służba. Karol śmiał się z tych rzeczy, karafki z zimną wodą w gabinecie i obiadu, gorącego, przyrządzonego po angielsku, obiadu o wpół do szóstej. — Tam potrzebna była kobieta dużo mądrzejsza odemnie — pomyślała — albo wcale nie inteligentna, taka sobie hausfrau tylko. Ja — przez całe życie — byłam zawsze czemś pośrodku.

Przeszła powoli wzdłuż bujnych krzaków porzeczek i przez trawnik do domu. + Na dworze wcale nie jest lepiej — pomyślała. W tym ogrodzie, który mogła była tak bardzo polubić, nic jej nie pozostawało, jak myśleć, a ona przestała myśleć już dawno, dawno temu...

W domu, chociaż go jeszcze nie zamieszkali, już rozchodził się zapach prania. Przeleciało jej przez myśl: — nigdy nie zapomnę, że kiedy od nich odeszłam był poniedziałek. Zamieszkali tymczasowo w oberży, ale ponieważ były dzieci i to dzieci zawsze brudne, Georgina uprała tu ich ubranka. Nie zważała, że to miały być wakacje, uprała je i rozwiesiła w kuchni naokoło tego obcego komina. Majteczki, skarpetki, letnie płaszczyki zwisały porządnie i przyzwoicie ze zniszczonego drewnianego wieszaka, znalezionego gdzieś w kącie. Na jednej stronie zczerniałej, zardzewiałej płyty kuchennej leżały małe żelazka do rurkowania falbanek i koronek. Czekały posłusznie na Georginę. Na mądrą Georginę, która rozumiała Karola, znała się na kuchni, dzieciach i nawet na rurkowaniu falbanek, lepiej niż jej siostra, Katarzyna.— Gdybyś ty była wyszła za niego, zamiast mnie, ciekawa jestem jakby wszystko poszło. Szkoda, że tak się nie stało; wtedy może ja byłabym tą, która rozumiała...

W pokojach zdarto już tapetę, zaczęto malować drzwi. Z szarego sufitu hallu zwisał krzywo żyrandol. Z pokoju na górze dochodziły głosy, a choć dobrze wiedziała, który to był pokój i co ją czeka jeśli tam pójdzie, zaczęła powoli, ociężale wspinać się po schodach.

Nie pytając jej o zdanie, ponieważ nie miała tam mieszkać, postanowili, że ściany w pokoju dziecinnym muszą być na nowo tapetowane. Wisiały już tam grubę kotary; parawan pozszywany z kolorowych skrawków już przybył z Londynu, jak również i koń na biegunach ze złamaną sprężyną. Innych mebli jeszcze nie było. Gromadka osób, znajdująca się w pokoju, skupiła się w kącie na który padały promienie słoneczne, zdala od Katarzyny. Wiatr wydymał kotary, pozostawiając ją w cieniu. Rozstawili teatrzyk, który Karol kupił im w Rochester i grali — och, umiała to już na pamięć — grali „Młynarza i jego parobków". Tekturowe skrzydła wiatraka kręciły się jak szalone, a za chwilę... błyśnie czerwony płomień... Już, już zaraz. Kochany, mały Sydney zadyszanym, zachrypniętym głosem krzyczał słowa Raviny: — Tak więc nieszczęsne ofiary niewoli i hańby zostały całkowicie, straszliwie pomszczone! Karol, niemłody już jak i ona, lecz podniecający się w zabawie jak dziecko, strzelał z petard za skrzydłami wiatraka i nagle — w smudze czerwonego ognia, oświetlającego ich zapamiętałe, skupione twarze — młyn wyleciał w powietrze!

Skończyło się. Wpychano i spychano ze sceny te różnobarwne figurki, takie dumne a zarazem bezradne. Hałaśliwe dziecinne głosiki wykrzykiwały kolejno ich losy, a teraz, ponieważ nie były już potrzebne, leżały rzucone jedna za drugą w jakiejś rupieciarni za kulisami — już zapomniane. Widząc w nich — choć bez przewidywań na przyszłość — smutną analogję, Katarzyna wzrok podniosła. Równocześnie Karol spojrzał, ze światła... w cień. Wlepili w siebie wzrok, poczem Katarzyna odwróciła się i wyszła.

Zajrzała do sypialni. On miał zatrzymać to ogromne łoże, w którem sypiała z nim przez dwadzieścia jeden lat i urodziła mu gromadkę dzieci. Tu firanki będą czyste i świeże — odnowione jak wszystko inne dla nowego rozpoczęcia życia w nowym domu. Ale to był stary dom i dlatego pokochała go. Choć nigdy nie będzie w nim mieszkać — pokochała. I znów przyszło jej na myśl: — Tu byłoby inaczej. Energicznie, władczo zapanowałabym nad swojem życiem. Odnalazłabym tę jedną cechę (bo doprawdy nie winię ani jego ani siebie, tylko, ten jeden jakiś brak we mnie) tę cechę, która uczyniłaby mnie kobietą odpowiednią dla tej roli. Bohaterką sztuki a nie statystką, umierającą w drugim akcie, dla której nie zapala się czerwonego ognia...

Trudno, już zapóźno. Patrząc z piętra w sień, dostrzegła Karolka, który miał towarzyszyć jej do Londynu. Wyglądał elegancko w kurtce podróżnej i włochatym „dorosłym" kapeluszu. Podobny był do ojca, Wielki Człowiek, ale w miniaturze i bez nimbu. Zapóźno... Tak się stało i tak już musi być. Dyliżans z Rochester już toczy się gdzieś pod lipami, przez bajorka wioskowe, obok malowanych szyldów, posuwa się coraz to naprzód jak czas na zegarze. Na nowym zegrze w sieni, którego cykanie rozbrzmiewa jej teraz w uszach.

Przystanęła. Drzwi dziecięcego pokoju otworzyły się. Podszedł ku niej.

— Pożegnałaś się z nimi — rzekł. — Przyjadę cię odwiedzić w Londynie, ilekroć będziesz chciała. Dlaczego wróciłaś?

Odparła tępym głosem, który go zawsze doprowadzał do wściekłości. — To nie miało sensu. Przepraszam cię, Karolu.

— No, mniejsza z tem, mniejsza...

Światło posunęło się, prześlizgnęło przez piękne stare szyby okna na schodach. Pomyślał z zazdrosną miłością:— nie byłaby nigdy zrozumiała czem ten dom jest dla mnie, mój dom, który nakazałem życiu zachować dla mnie, póki nie będę gotów. Z nią nie mógłbym

Choroby wątroby

Kamienie żółciowe

Chroniczne zaparcie

H. NIEMOJEWSKIEGO

LAB. FIZJOL. - CHEMICZNE WARSZAWA NOWY-ŚWIAT 5

o tem mówić. A więc, Kasiu — mruknął niecierpliwie — więc, co?

Spojrzała w górę ku niemu. Była to twarz spokojnej nieinteligentnej Madonny, jednej z tych malowanych w Turynie czy Sienie, które trzymają Dzieciątko na szerokich kolanach, lecz nigdy nie patrzą na nie, tylko hen, daleko, sennie poprzez rozległą włoską równinę ku widnokręgowi. Pozatem była to twarz tak mu powszednia, jak chleb codzienny: twarz kobiety, z którą nie miał już cierpliwości żyć dłużej. Patrzył się na nią i nagle, jakby i jego dosięgła cząstka tego olbrzymiego wzruszenia, które nagle zaczęło przepływać przez stężałe zmysły Katarzyny, zaczęła mu się w oczach zmieniać. Widział jej myśli jak rysy jej twarzy, czyniące ją obliczem nieznajomej. Twarz, którą mógłby pokochać do szaleństwa, kochanki raczej niż żony. Uczucia nierozbudzone przez dwadzieścia lat przebiegały między nimi, naprężone i nowe; krystalizowały się i utrwalały w powietrzu dla przyszłych mieszkańców tego domu, nie, aby go nawiedzać, lecz żeby w jakimś przyszłym odległym kwietniu, zatrzymywali się na tym zakręcie schodów i mówili, oszołomieni: — Coś tu musiało się stać... kiedyś.

On był tym mądrym, inteligentnym, ale w tej chwili ona była górą. W jednem tchnieniu, z bólem od którego serce pękało, dojrzewa wszystko co stracili, co popsuli. Mieszkanie razem, wzajemne usługi, odgadywanie myśli, ślub serc i umysłów; podróże dyliżansem i piesze spacery, podwieczorki w lesie i zimowe śniadania; zrobienie sobie świata z tych dzieci, wszechświata w pokoju o zasuniętych kotarach; ogień na kominku w dzień Bożego Narodzenia i lampa wieczorami płonąca, letnie i jesienne południa, wieczory kwietniowe, kiedy wszystko byłoby może w tym nowym, bezpiecznym, szczęśliwym domu... Odmówiliśmy sobie tego wszystkiego — bez powodu, dla braku pewnej subtelności?... dlaczego? Dlaczego? Jąkając się rzekł: — Kasiu... Żal mi... Chciałbym... Może zaczęlibyśmy na nowo...

Radość rozsadzała ją; czuła jak rośnie od niej, wzbija w górę. Uchwyciła się jego słów; pieściła je łagodnie jak kochanka, którą nigdy nie była — poczem puściła je. Dała mu jeden uśmiech, aż tragiczny od zawartego w nim szczęścia i odparła: — Nie, Karolku. To się już nie da. Już jest zapóźno... O wiele zapóźno, mój drogi.

Opadła na ziemię, ręce jej osunęły się bezwolnie; była znów Katarzyną. Patrząc na nią teraz, pomyślał — Czy oszalałem? Powiedział porywczo: — No, dowidzenia — i odwróciwszy się natychmiast poszedł do dzieci.

Na szosie zabrzmiał róg pocztyliona. Rozległ się trzask bicza, ściągnięto konie, ponownie biczem popędzono. Koła obracały się, sprężyny podskakiwały, pył wzbijał się i tańczył — Poczta Rochester'ska jechała do Londynu. W karetce siedział śpiący wieśniak z trzema zabitemi kurami; niewidomy żołnierz, który walczył był przeciw Napoleonowi; chłopiec, syn wielkiego człowieka i kobieta w średnim wieku, której małżeństwo stało się jednem wielkiem bankructwem. Nazewnątrz rozpościerała się nad hrabstwem Kentu, straszliwa jasność wieczoru kwietniowego. Wiatr dął, jak trąby wojskowe, drzewa pączkowały, wszystko zaczynało życie... Lecz tylko chłopiec wyglądał oknem.

Reszty podróżnych to nic a nic nie obchodziło, jeden bowiem był niewidomy, drugi spał, a trzeci — trzeci to była pani Dickens, żona Karola Dickensa.

przeł. W. Peszkowa.

Wielki patrjotyzm chłopa na łożu śmierci

ĆWIERĆ POSIADANEGO MAJĄTKU NA F. O. N.

Z radością musimy stwierdzić, że doniosłość celu dozbrojenia naszej armii rozumieją, nie tylko inteligenci, ale i chłopi!

Oto mamy do zanotowania wymowny fakt, świadczący o wysokim patrjotyźmie chłopów, oddalonych nieraz o dziesiątki i więcej kilometrów od miast. Poniżej podajemy dosłowny testament gospodarza Stanisława Fraszczyka ze wsi Wilamów, pow. tureckiego, woj. łódzkiego.

„Sporządzam sam testament własnoręcznie, tak jak mi serce i rozum dyktuje. Na mnie wypada 8 mórg ziemi, po dobrym namyśle całość mego majątku rozpisuje na cztery równe części. Pierwszą część ofiaruję na Fundusz Obrony Narodowej, pozostałe zaś części na rodzinę i cele filantropijne. To jest wszystko, co w czasie mej choroby nie wychodziło nigdy mi z myśli. Teraz już jestem spokojny, gdy ten testament sporządziłem, proszę bardzo, kto weźmie tę sprawę w ręce, niech załatwi sprawiedliwie".

Oto ostatnie życzenie zmarłego chłopa - patrjoty, który zastanawiając się w czasie swej długiej choroby, tak rozsądnie podzielił swój majątek, nie zapominając również o zasileniu Funduszu Obrony Narodowej.

Fabryka Frykotaży
Jan Matuszewski
102 Marszałkowska 154
33 Chmielna 40 Nowy Świat

Tanie zimowe podróże do Z. S. R. R.

specjalne wycieczki przemysłowe, teatralno-muzyczne, pedagogiczne, sportowe i dla lekarzy przez „INTOURIST"
ORGANIZUJE
Polskie Biuro Podróży „UNION-LLOYD", Warszawa, Chmielna 44 tel. 622-24

Szczegółowych informacyj udzielają wszystkie placówki „Union-Lloydu"
Tamże sprzedaż kolejowych i okrętowych biletów na Bliski i Daleki Wschód, do Palestyny i z powrotem przez Z.S.R.R.

Popularny COGNAC MONTBEL
ŻĄDAĆ WSZĘDZIE

NAJDELIKATNIEJSZE NAJŁAGODNIEJSZE 83.8% PRZETŁUSZCZENIA
Mydło BEBE SZOFMANA
ZNANE MATKOM od lat 3

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755
Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel od godziny 11 do 3 pp.
Redakcja od godziny 11 — 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp., tylko po uprzedniem telefonicznem porozumieniu z sekretarjatem. Telefon 2-10-87. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca

ŚWIAT FILMU

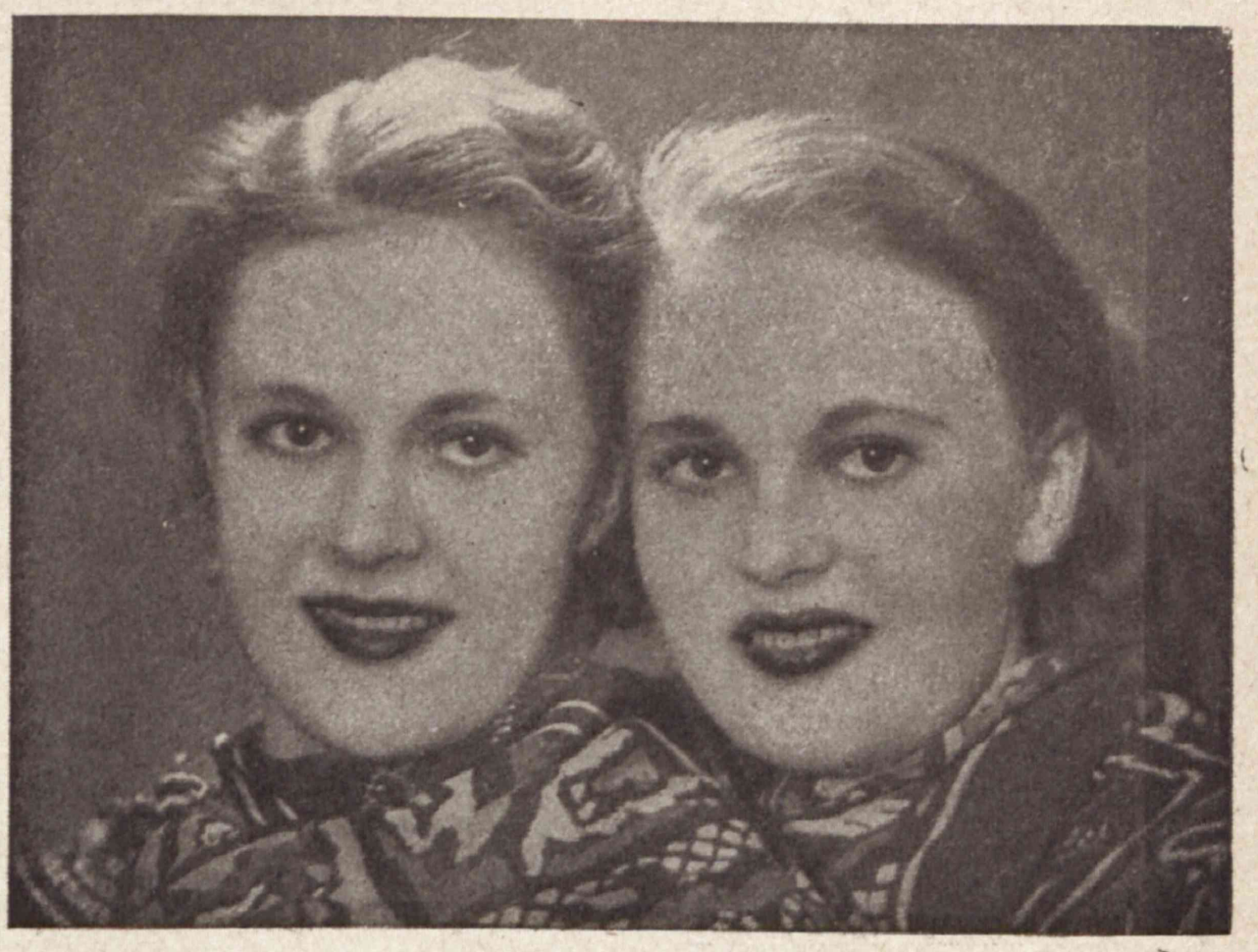

Urocze bliźniaczki, siostry Szellónowny występują z dużem powodzeniem w dancingu „Paradis", Nowy Świat 3.

„Noc przed bitwą" Colosseum

Tęsknimy do morza. Jego potęga, władczy ryk fal i wycie sztormów obudziło w naszem społeczeństwie odwieczną tęsknotę do przestrzeni, do mężnej walki z rozszalałym żywiołem, do opanowania jego wybryków, poznania kaprysów, do zawładnięcia jego bezkresną potęgą. Przeżywamy uczucie dumy na wieść, że gdzieś w odległej stoczni spuszczono na morze nowy polski okręt wojenny. Odczuwamy lekkie ukłucie zazdrości, gdy podziwiamy na jakimś dodatku filmowym potężne kadłuby krążowników angielskich czy amerykańskich, gdy widzimy ich ogromnę sylwetki, płynące w zdobywczym szeregu w bezmiar wód.

Podziwiamy morze. I dlatego filmy morskie cieszą się wśród publiczności polskiej entuzjastycznym przyjęciem.

„Noc przed bitwą" jest filmem morskim. Cała jego akcja, związana z morzem, rozgrywa się na pokładzie potężnego krążownika „Alma". Ale cóż, kiedy mimo tak związanego z marynarką tematu, morza nie pokazano prawie wcale. Nie wyzyskano jego niezwykłej fotogeniczności, nie dano odczuć jego potęgi.

Cóż dano wzamian?

Scenarjusz oparty na noweli Claude Farrèra dawał realizatorowi ogromne możliwości. Bardzo interesująca akcja nie pierwszy raz skłoniła producentów kinowych do rzucenia jej na ekran. Współpraca francuskiej marynarki wojennej ułatwiała ogromnie zadanie. I cóż z tego wyszło?

Znakomita obsada z uroczą Annabellą i świetnym w typie Victorem Francenem na czele dała nam koncert gry aktorskiej. Annabella przy ogromnej naturalności, nieprzeciętnej inteligencji odtwórczej, wcieliła w postać młodej żony bohaterskiego komandora cały swój wdzięk, bezpośredniość, prostotę i głębię odczucia. Victor Francen — komandor de Corlaix — miał szlachetną sydwetkę starego wilka morskiego, rolę swą potraktował z pietyzmem, grą swą porwał publiczność. Stary admirał (Signoret) oddał z przekonywującym realizmem prawość i bezwzględną sprawiedliwość, nie liczącego się z ubocznemi względami żołnierza i sędziego. Pierre Renoir stworzył przejmującą tragizmem maskę.

Strona psychologiczna filmu, głęboki konflikt, dramatyczna obrona honoru starego marynarza, dzięki znakomitej grze zespołu wypadła świetnie, mimo jaskrawych błędów reżyserji, wadliwego montażu, niejasnych i dziwnie nielicznych napisów. Strona batalistyczna, walka morska, życie okrętu uwidocznione mglistemi zdjęciami zbyt ciemnej kopji, pokrajane przy montażu w sposób niezrozumiały, zagmatwane nadmiarem szczegółów, przy niejednokrotnym braku scen najistotniejszych wypadły fatalnie. Cała atrakcyjność filmu utonęła w gęstej mgle ciemnej kopji, w zamęcie towarzyszącym walce i.. filmowaniu.

Współtwórca scenarjusza, reżyser Marcel l'Herbier, wyrządził niedźwiedzią przysługę stworzonemu przez siebie dziełu. Z filmu, który miał wszelkie szanse, aby stać się jednym z czołowych obrazów świata, stworzył film dobry, ale pozbawiony największej atrakcyjności tematu.

J.

CHROŃCIE ZDROWIE!
OLLA
GUM..?
Z NAJLEPSZYCH NAJLEPSZE!

WYTWORNY PUDER | GELOBIL WARSZAWA | KREM ODŻYWCZY

To już przysłowie:
MODNE TKANINY **CWEJKO** TANIO SPRZEDAJE

ŚWIAT FILMU

„Dla ciebie, Mario" Roma

Idąc do kina Roma, jesteśmy zazwyczaj pewni, że zobaczymy na ekranie doskonały obraz. Taka już wytworzyła się tradycja, gdyż tak bywało prawie zawsze.

Tym razem nadzieja nas nieco zawiodła. Film „Dla ciebie, Mario" — nie jest zły. Jest poprostu nijaki. I trochę nudny. I pod względem treści, mocno zbliżony do filmu, oglądanego w ubiegłym roku w kinie Filharmonji: „Nie zapomnij o mnie", w którym tenże sam B. Gigli (tylko jakiś młodszy i... szczuplejszy) przeżywał te same tarapaty miłosne.

Podobnie, jak tam — tak i tutaj, samotny starszy pan, tęskniący do idyllicznego ogniska domowego, zażywny maestro, spragniony dobroci, ciepła i miłości uwodzi nas ze sceny prześlicznym tenorem „z łezką", wygrywając go jak jedyny atut, pozostawiony mu przez okrutny los.

Podobnie jak tam, rozbraja swą naiwną dziecięcą łatwowiernością, właściwą wielkim artystom, kokietuje ojcowskim sentymentem (do cudnych dzieci) — wiernością i stałością uczuć dla utraconej kobiety, czułą galanterją dla tej drugiej, która go podbija po pięciu latach żałoby i tęsknoty, wreszcie zjednuje nas sobie dobrocią i zacnością charakteru.

To wszystko jest miłe, ładne, szlachetne, może nawet chwilami wzniosłe — ale cóż robić, kiedy w gruncie rzeczy ckliwe... Gorzej, bo śmieszne.

Sentymentalny Tino, z brzuszkiem i zadyszką, metodycznie wystrychiwany na dudka przez cyniczną, sprytną, chemicznie wypraną z cnoty i moralności, a jednak uroczą, paryską gryzetką — biedny, rozamorowany, rozśpiewany „belcanto" budzi politowanie, miast współczucia. A Claudette podła Claudette, wywołuje (o zgrozo!) uśmiech dyskretnego zrozumienia dla jej szelmowskich wyczynów, gdyż w gruncie rzeczy ta mała żmija potwierdza nasze wewnętrzne nastawienie: kpi sobie z rzewnego adoratora i nabiera go na fundusz, a my nie jesteśmy w stanie mu współczuć!!

Kiedy wreszcie Claudette, pod urokiem pieśni (bo chyba nie śpiewaka) ulega, i zakochana, pobita na głowę nieoczekiwanym dla niej efektem jej własnych sztuczek — nawraca w tempie 120 klm/godz. na drogę cnoty — przyklaskujemy jej ochoczo, bo... tak nas mama uczyła, cieszymy się, że jednak cnota i Eros zwyciężyły, ale film przez to nie jest ani trochę ciekawszy.

Bo niestety, przez pierwsze kilkaset metrów taśmy zmiarkowaliśmy wlot, o co rzecz idzie — i teraz do końca, jak po nitce do kłębka, odkręcamy sobie cały film „na przód" — i co gorsze, przewidywania nasze są słuszne.

I to jest właśnie największy zarzut, że film jest zbudowany na starych szablonach, na wzorach anno domini 1925 — no i że „każda szczegóła" da się zgóry przewidzieć z dokładnością wprost matematyczną.

Całe szczęście, że Gigli śpiewa naprawdę pięknie i hojnie szafuje głosem; łaska boska, że Käthe von Nagy jest prześliczna, niepokojąca i miła, że, wreszcie, pokazano nam dużo ładnych plenerów i piękne widoki Neapolu...

Harry Baur w monumentalnym filmie Abla Gance'a p. t. „Wielka miłość Beethovena" wyświetlanym w kinie „Atlantic".

Domek Tarzana

Zdjęcia do filmu „Ucieczka Tarzana" nakręcano częściowo w atelier. Wybudowano jednak wielką dekorację, będącą kopią autentycznego tła dżungli afrykańskiej. Domek, a właściwie szałas Tarzana stoi obok naturalnego źródła. Jest specjalnie przybrany i odosobiony. Gdy go sfilmowano, dał on całkowite złudzenie rzeczywistości. Do tego stopnia, że trudno odróżnić zdjęcia nakręcane w sercu dżungli od tych, które dokonane zostały w atelier.

Jak wiadomo bohaterem filmu „Ucieczka Tarzana" jest Johnny Weissmuller.

Partnerką Weissmüllera jest Maureen O'Sulivan. Film ukaże się wkrótce na ekranach kin amerykańskich.

DAN-CING **PARADIS** NOWY-ŚWIAT 3

W programie lutowym występują: 1) Marussia NICANDROFF, 2) Erzsi PALOTAS — artystka węgierska, 3) Wiera GRAN — polska pieśniarka, 4) Celina CESARSKA — polska tancerka, 5) Siostry SZELLOWNY — polskie tancerki, 6) Ulubieńcy Warszawy — GOLD I PETERSBURSKI. Została wprowadzona ulgowa konsumcja. Zamiast zł. 2.50 — tylko zł. 1.50, wyłącznie dla Gości przybywających między godz. 10-tą a 11-tą wiecz., z prawem pozostania przez całą noc. W sobotę zł. 2.50. Codziennie od godz. 6 p. p. — do 10 wiecz. podwieczorki taneczne. Konsumcja w dni powszednie zł. 1.15, w czwartki i soboty — zł. 1.30.

REDAKTOR: L. CHRZANOWSKI. Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk „Polska Zjednoczona", Warszawa

P